

Heinz-Lothar Worm

Maria, Droga do szczęścia



PRZED PIEKARNIĄ

NIEOPODAL PIEKARNI, w centralnym miejscu wioski, rośnie stara lipa. Wokół jej grubego pnia zbudowano ławkę, na której można było wygodnie posiedzieć w cieniu i pogawędzić. W pobliżu znajduje się kamienny stół, przy którym urządzono różne inne miejsca do siedzenia, z oparciem i bez.

Oto zebrał się tutaj spory tłum starszych i młodszych mieszkańców wioski. Kilku młodych mężczyzn podnosi właśnie kobietę – może trzydziestokilkuletnią – i sadza ją na stole. Kobieta broni się przekornie, udaje, że chce odejść, ale mężczyźni jej na to nie pozwalają. Mimo to kobieta śmieje się i sprawia wrażenie, jakby pogodziła się ze swoim losem.

Tłum wokół nich gęstnieje, przybywa ciekawskich gapiów. Wszyscy w napięciu czekają na to, co ma się wydarzyć. Młody mężczyzna, wystrojony niczym wieśniak udający się do miasta, zbliża się do kobiety siedzącej na stole i woła najgłośniejszym głosem, jak potrafi:

– Słuchajcie mnie! Słuchajcie mnie wszyscy mieszkańcy Kleinem!

Gapie przerywają rozmowy, cichnie śmiech.

Młody wieśniak krzyczy:

– Posłuchajcie! Mam tutaj do sprzedania młodą, dorodną krowę. Jest dobrze odżywiona, ma swoją oborę i wystarczająco dużo strawy. Jest też na tyle młoda, by mieć jeszcze nawet kilka cieląt. Jak sądzicie, ile warta jest taka sztuka?

– Ile za nią chcesz? – odzywają się głosy z tłumu.

– Myślę, że warta jest co najmniej 60 albusów – odpowiada wieśniak. – Kto da 60 albusów?

– 60 albusów? Za taką cenę można kupić młodego, dorodnego konia. To za dużo za krowę! – pokrzykują zebrani.

– Zobaczcie, jest młoda i zdrowa. Ten, kto ją kupi, będzie miał z niej pożytek.

– Ja bym ją wziął, ale tyle pieniędzy nie mam – woła siwy, wychudzony mężczyzna, ukazując przy tym prawie bezzębną szczękę.

– Ty? – słowa starca wywołują salwę śmiechu. – Uważaj Schorsch,

zeby twoja stara tego nie usłyszała. Miałbyś za swoje!

Stary odchodzi, machając z rezygnacją ręką.

– Może kupisz tę krowę dla swojego syna, Henner?

– pyta wieśniak jednego ze starszych i zamożniejszych mieszkańców wioski.

– Nie ma mowy – odpowiada mężczyzna. – Mój syn ma dopiero siedemnaście lat, na co mu już teraz krowa i do tego taka stara. Jak przyjdzie czas, poszuka sobie cielęcia. Jest ich tu w bród.

– Dziś jednak sprzedaję tę tu okazałą krowę. Kto da 60 albusów? Kto da 60 albusów?

– Za droga! Za droga! – wołają gapie.

W tym momencie do zebranych zbliża się mężczyzna w średnim wieku, ubrany w strój rzeźnika. Do paska przypięty ma okazały tasak. Spokojnym krokiem podchodzi do stołu i głośno pyta wieśniaka:

– Co tu się dzieje?

– Ta krowa – odpowiada wieśniak, wskazując na kobietę siedzącą na stole – ma być dziś sprzedana. Chcę 60 albusów za to wspaniałe zwierzę, ale nie ma chętnych. Co mam robić?

– Niech no na nią spojrzę. Może mnie by się ona przydała? 60 albusów to sporo pieniędzy... – rzeźnik zastanawia się głośno, drapiąc się po głowie. – 60 albusów powiadasz, muszę pomyśleć.

Siedząca na stole kobieta zadziornie grozi rzeźnikowi palcem.

– Zauważ – wchodzi znów w swą rolę wieśniak – że ten, kto kupi tę krowę, nic na tym nie straci. Ma zadbaną oborę, a do tego całkiem spore pastwisko. Nad czym tu się zastanawiać? Zgódź się, a będzie twoja.

– Zgodzę się, jeśli obniżysz cenę do 50 albusów.

– 55 albusów! Popatrz tylko, to wyjątkowa sztuka!

– Niech będzie. Podoba mi się, biorę ją!

Wieśniak i rzeźnik podają sobie ręce, potwierdzając, że dobili targu. Tłum klaszcze. Kobieta, sprzedana przed momentem jako „okazała krowa”, schodzi ze stołu i klepiąc rzeźnika w ramię, woła głośno:

– Taki handel trzeba oblać! Lina, gdzie butelki?

– Już idę, Zosieńko – stara służąca podchodzi do nich, kulejąc. W

ręce trzyma spory koszyk. Kiedy ściąga z niego chustę, oczom zebranych ukazują się ukryte pod nią butelki wódki. „Niech żyje młoda krowa i rzeźnik! Niech żyją Zofia i Fryderyk!” – krzyczy rozradowany tłum.

Odkorkowane w okamgnieniu butelki idą w ruch. Podawane są z rąk do rąk, tak, by każdy z obecnych mógł wypić chociaż łyk. Kiedy ślub? A może jednak wcześniej chrzciny?

– A cóż to za gadanie! – oburza się dziewczyna. – Czy wyglądam tak, jakby chrzciny miały być przed ślubem?

Wzrok obecnych skupia się na talii kobiety. Nie, nic na to nie wskazuje.

– Ślub odbędzie się w Zielone Świątki! – woła rzeźnik i bierze za rękę swoją narzeczoną.

– Dobrze zrobił, że ją sobie wziął – starsza kobieta z tłumu szepcze do swojej sąsiadki. – Wdowa, ale jeszcze młoda, zagrodę ma zadbaną, z pierwszym mężem nie mieli dzieci. A on ma tylko tę małą rzeźnię...

Nieopodal stoi młody chłopak z dziewczyną. On to wysoki blondyn, o lekko kręconych włosach. Jej włosy są kasztanowe, a twarz rozświetlają niebieskie oczy.

– Niedługo zamiast krowy zasiądzie na tym stole dorodne cielę – powiedział chłopak, po czym porozumiewawczo mrugnął do dziewczyny.

– Och Karolu, żeby to się wreszcie udało – westchnęła dziewczyna.
– Wiesz przecież, jaki jest ojciec.

– Jest uparty jak osioł. Zresztą znasz go lepiej niż ja. Ale potrafi też być dobry. Gdyby to zależało ode mnie, już dawno bylibyśmy po słowie. Ale twój ojciec... Nie rozumiem go. Właściwie jest dla mnie miły, ale na nasz związek wciąż nie chce się zgodzić. On nigdy mi ciebie nie da, zrobi wszystko, żebyśmy nie byli razem. Nie wiem, co mu się we mnie nie podoba? Może to, że jestem z nieprawego łoża?

– To nie to, rozmawialiśmy już o tym przecież. Jego matka, a moja babka też była z nieprawego łoża. Ja też go nie rozumiem.

– Niedługo i tak wszystko się wyda i wtedy będzie musiał się zgodzić. Nic na to nie poradzi.

– A co mówi twoja matka?

– Też próbuje mnie zniechęcić. Kręci tylko głową i powtarza w kółko: „Co też z tego będzie?”

– A co ona może mieć mi do zarzucenia?

– Ależ nic nie ma, jak ktoś w ogóle mógłby źle o tobie myśleć? – odparł chłopak, patrząc czule na swoją dziewczynę. – Nie żałujesz, że...

– Nie żałuję. Już czas, byśmy wreszcie byli razem. Jak będzie widać, że spodziewam się dziecka, ojciec będzie musiał się zgodzić. Gdyby tylko nie był taki porywczy!

– Jesteś moim skarbem, Mario. Zawsze będę cię kochał! – Karol objął dziewczynę i zapominając o tym, że nie są na placu sami, długo i czule ją całował.

Nagle gwar na placu ucichł. W kierunku młodej pary zmierzał bowiem czerwony z wściekłości ojciec dziewczyny. Młodzi dostrzegli go jednak dopiero w chwili, kiedy przed nimi stanął.

– A niech to piorun trzaśnie! – wrzeszczał, nie potrafiąc opanować gniewu. – Zostaw go, ty nieposłuszna dziewucho! – Po czym uniósł zaciśniętą w pięść dłoń. – Prędeż cię zabiję, niż pozwolę, byś z nim była!

Karol stanął między dziewczyną a jej ojcem i nie zważając na nic, oświadczył:

– Jeśli zrobicie coś Marii, będziecie mieć ze mną do czynienia.

Odważne słowa chłopaka w obronie dziewczyny wprawiły mężczyznę w zakłopotanie. Tym bardziej, że tłum zdecydowanie trzymał stronę młodych.

– O co ci chodzi Ludwiku? – zapytał starszy mężczyzna z tłumu. – Co masz do Karola?

– To nie twoja sprawa! – odrzekł wciąż jeszcze dyszący ze złości ojciec dziewczyny. – To moja decyzja. Nigdy nie zgodzę się na to, żeby tych dwoje – wskazał na Marię i Karola – było razem.

– Czemu nie chcesz się zgodzić? Daj im nacieszyć się szczęściem. Karol jest pracowity jak mało kto. Jak go weźmiesz do siebie, zastąpi ci parobka.

– Co ty tam wiesz! – przerwał mówiącemu mężczyzna. – Nie mogę go wziąć do siebie.

– Zastanów się. – odezwał się kolejny z gapiów. – Naturze nie

można się sprzeciwiać. Tych dwoje jest dla siebie stworzonych.

– Głupie gadanie! Nigdy do tego nie dopuszczę, możesz być tego pewny! – wykrzyknął ojciec dziewczyny, odgrażając się pięścią.

Maria uwolniła się z ramion Karola, który próbował ją zatrzymać. Uśmiechnęła się do niego i odważnie stanęła przed swoim ojcem.

– Już czas, żebyś poszła ze mną. On nie jest dla ciebie, wierz mi, córko.

Maria popatrzyła swojemu ojcu prosto w oczy, głośno zaś, waząc każde słowo, powiedziała:

– Ojczy, niezależnie od tego, co mówisz o Karolu, ja nie chcę go zostawić.

Na placu zapanowała cisza, jedynie w oddali słychać było okrzyki przyjaciół narzeczonych.

– Nie chcesz go zostawić? A co ty możesz chcieć? Dla ciebie liczy się moja wola, nie twoja.

– Wiem ojczy. Ale... Będziesz musiał się zgodzić. Noszę pod sercem dziecko. Dziecko Karola.

– Spodziewasz się jego dziecka? – Ludwik z niedowierzaniem przyjrzał się córce. – Spodziewasz się jego dziecka? To prawda? – Oddychał głęboko, starając się złapać powietrze, jakby nagle zrobiło mu się słabo.

– Tak ojczy, to prawda. Chciałam tego dziecka, bo chcę, byśmy wreszcie byli razem.

– W takim razie ściągnęłaś na siebie i na niego – wykrztusił, wskazując na Karola – potrójne przekleństwo. Unieszczęśliwiłaś mnie, siebie i jego, ty niewierna kobieto! Wiesz, kim on jest? Karol to... twój... brat!

Maria i Karol popatrzyli na siebie, niczego nie rozumiejąc. Mieszkańcy Kleinem wymienili zaś między sobą pytające spojrzenia.

– Ależ co wy mówicie?! – odezwał się chłopak. – Jak mogę być bratem Marii?

– Zapytaj swoją matkę. Małgorzata była kiedyś służącą u naszych sąsiadów. I wtedy ja... wtedy to się stało. Teraz Karolu już wiesz, kto jest twoim ojcem.

– Wy jesteście moim ojcem? Wy? – chłopak wpatrywał się w

mężczyznę, z wolna pojmując jego słowa. – Co żeście... uczynili?!

– Ojcie... – szepnęła Maria, która jeszcze nie do końca pojęła to, co przed chwilą usłyszała.

Zaległa cisza.

– Mario – drżąc cała, odezwała się stojąca obok niej kobieta. – Mario, to znaczy, że spodziewasz się dziecka swojego brata. Takie bezceństwo, taka bezbożność! Tego w naszym Kleinem jeszcze nigdy nie było.

Tłum gapiów potakująco kiwał głowami. Jeszcze tak niedawno wspierali parę, której sprzeciwiał się ojciec. Teraz jednak wszystko się zmieniło.

– Powinnaś była słuchać ojca! Wtedy nic złego by się nie stało.

– Ojcie – szepcze Maria. – Ojcie, czy to prawda? Powiedz, ojcie!

– Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Małgorzatę, jego matkę – odkrzyknął na cały głos ojciec dziewczyny. – Ona ci wszystko opowie. Ty... ty... zhańbiłaś cały nasz ród, dopuszczając się kazirodztwa! Zadawałaś się z własnym bratem!

„To nieprawda. To nie może być prawda. Karol nie jest moim bratem – kołatało się w głowie Marii. – A jeśli to jednak jest prawda?”

Postanowiła uciec. Najszybciej, jak potrafiła. Od zebranych ludzi, od porywczego ojca, który na oczach tłumu został upokorzony. Karol chciał złapać ją za ramię, pobiec z nią, ale mu się wyrwała.

Dotarła do domu, wbiegła do stodoły, a stamtąd tylnym wyjściem do ogrodu. Nikt jej tu nie widzi. Przez nieco już zmurszałą bramę wybiegła na łąkę, która rozciąga się za ogrodem. Potem wąską ścieżką wiodącą między polami wspięła się na górę za wsią. W połowie drogi na szczyt rozciąga się bardzo gęsty żywopłot. Maria przystaje zdyszana i szuka w nim swojej sekretnej kryjówki.

KRYJÓWKA

ZNALAZŁA TO MIEJSCE, kiedy miała osiem czy dziewięć lat. Chciała się wtedy schować przed swoim niesprawiedliwym i porywczym ojcem, grożącym jej, że ją zbije. Przebiegając wzdłuż tego żywopłotu, przypadkiem odkryła w nim mały otwór, najpewniej zrobiony przez zwierzęta. Udało jej się precyzyjnie do środka i niespodziewanie znalazła się na miękkim, ciepłym poszyciu, porośniętym mchem i przykrytym listowiem. Wokół pięły się w górę gęste gałęzie obsypane kolcami, które nad jej głową zrastały się, tworząc coś w rodzaju baldachimu. Od razu poczuła się tam bezpiecznie.

Od tamtej chwili wiele razy szukała schronienia w swojej przytulnej kryjówce. Do środka docierały jedynie przytłumione odgłosy toczącego się w wiosce życia. Latem słychać było szum kołyszących się na wietrze łanów zbóż. Dookoła przepięknie kwitły maki, chabry i rumianek, a nawet nieczęsto spotykana ostróżka.

Teraz także spróbuje tutaj odzyskać spokój. Przepiska się przez wąski otwór, by po chwili znaleźć się wewnątrz żywopłotu. Od ludzkich spojrzeń oddziela ją ściana gęstych cierni. Rzuca się na wilgotną trawę i dopiero, gdy czuje zapach ziemi zaczyna płakać. O zmierzchu jest już nieco spokojniejsza. Jakże często tu przychodziła. I zawsze w tym miejscu odzyskiwała pewność i siłę...

Przypomniał jej się pewien mglisty poranek wczesną wiosną, gdy ojciec wrócił do domu nad wyraz wzburzony. Już od dawna kłócił się z sąsiadem, którego łąka przylegała do ich łąki. Ojciec zarzucał mu, że kiedy kosi trawę, nie zważa na granicę i wchodzi na ich ziemię. Doprowadzało go to do szału, dlatego chciał przyłapać sąsiada na gorącym uczynku. To mu się jednak nie udawało, co jeszcze bardziej go denerwowało. Wciąż się awanturował.

Tego dnia o świcie ojciec znów pobiegł na łąkę. I tam wreszcie zobaczył łajdaka. Sąsiad nie zbierał jak zwykle trawy, ale stał na polu, na którym niedawno posiano groszek. Ojciec zaczął na niego straszliwie wrzeszczeć, ale sąsiad jakby nic sobie z tego nie robił. Nic nie

odpowiadał. Stał pośrodku pola, dumny i wyprostowany, jakby go to w ogóle nie obchodziło. To zupełnie wyprowadziło ojca z równowagi. Złapał motykę, podbiegł do sąsiada i uderzył go w głowę metalowym końcem narzędzia. Mężczyzna bez słowa upadł na ziemię.

Dopiero to otrzeźwiło ojca. W miejsce wściekłości pojawił się głos sumienia: „Pobiłem człowieka!”. Przerażony uciekł do domu.

W domu przywołał do siebie żonę i obie córki i opowiedział o wszystkim, z rozpaczy rwąc sobie włosy z głowy:

– Co teraz będzie? Aresztują mnie, a wam wszystko zabiorą.

MARIA PAMIĘTAŁA to bardzo dobrze. Nie odzywając się ani słowem, pobiegła wtedy na łąkę i ukryła się w swoim żywopłocie. Tam mogła spokojnie pomyśleć: „Jeżeli naprawdę zabiorą nam to, co mamy, gdzieś indziej damy sobie radę. Ta myśl ją uspokoiła i pozwoliła wrócić do domu. Jak zawsze, z nową nadzieją”.

Niemniej sytuacja rychło uległa zmianie. Matka zmusiła ojca, by wrócili razem na łąkę, tłumacząc, iż nie można zostawić pobitego sąsiada samego w polu. Poszedł z nią bez słowa. Gdy dotarli już na miejsce, wszystko się wyjaśniło. Na ugorze leżał poturbowany strach na wróble, którego ojciec w porannej mgle wziął za znienawidzonego sąsiada.

Przez jakiś czas po tym wydarzeniu ojciec hamował swoją porywczosć. W chwilach, gdy był zdenerwowany, matka mówiła mu tylko:

– Pamiętaj o strachu na wróble!

NIKT W WIOSCE nie znał tej przestronnej, otoczonej cierniem kryjówki. Maria powiedziała o niej jedynie Karolowi. To tutaj przyprowadziła go w ten wiosenny wieczór, kiedy... Kiedy zdecydowała, że zostanie matką jego dziecka. Długo o tym myślała. Gdy zmarła jej rodzicielka i wkrótce do ich domu wprowadziła się Anna-Katarzyna, dziewczyna nie czuła się tam dobrze.

Anna-Katarzyna pracowała u nich kiedyś jako służąca. Pochodziła ze Schwalm i z dumą nosiła ludowy strój ze swego regionu. Niezmiennie mówiła w tamtejszym dialekcie, używając często słów, które dla nich, tu,

na południu księstwa Waldeck, brzmiały obco. Młoda i gospodarna kobieta była rada, wydając się za sporo od niej starszego gospodarza.

Na początku było im razem dobrze i Maria szczerze cieszyła się, że to właśnie Anna-Katarzyna została jej macochą. Ale z czasem – Maria zauważyła to bardzo szybko – Anna-Katarzyna zaczęła dostrzegać w pasierbicy konkurentkę. Ojciec coraz bardziej ulegał wpływowi młodej żony. Niezbyt troszczył się o swoją córkę. Co więcej, coraz częściej wprowadzał jakieś dziwne zakazy i dawał jej odczuć, że jest tylko dziewczyną. Miał zapewne nadzieję, że Anna-Katarzyna da mu syna.

Maria coraz wyraźniej czuła, że macocha chce się jej pozbyć z domu, tak by przyszły dziedzic nie musiał się niczym dzielić ze starszą siostrą. Właściwie powinna się cieszyć, że Maria chce wyjść za mąż. Ale może dlatego się właśnie i sprzeciwia. Boi się pewnie, że Karol zamieszka z nimi, i syn, którego tak bardzo pragnie urodzić, nie dostanie całego majątku.

Czy ojciec też tak myśli? Sądziła, że wolałby raczej, żeby nie wychodziła za mąż i została w domu, by pomagać w gospodarstwie i być niańką dla dorastającego rodzeństwa. Nie, na to nie mogła się zgodzić. Zdecydowała, że chce należeć do Karola, a jedynym sposobem, by ojciec wyraził zgodę na ich wspólne życie, będzie ich wspólne dziecko. Tak postanowiła.

Rozmawiała o tym z Karolem i pewnego wieczoru przyprowadziła go do swojej kryjówki. Jakże cudowne było to ich pierwsze spotkanie w żywopłocie. Podobnie kilka następnych... Gdy miała Karola tak blisko przy sobie, wydawało się jej, że powinna go czcić jak istotę pozaziemską, która ma nad nią władzę. Równocześnie obawiała się tego. Byli tacy szczęśliwi, kiedy stało się jasne, że Maria spodziewa się dziecka. Ale teraz to już nie ma żadnego znaczenia. Ich plan się nie powiódł. Jej ukochany Karol jest jej bratem, nieślubnym synem Małgorzaty i jej ojca. Dlatego ojciec tak się temu sprzeciwiał. Dlaczego jednak nie powiedział jej, że ona i Karol są spokrewnieni? Oczywiście! Nie było trudno domyślić się, co nim kierowało – bał się hańby, jaką okryłby się w wiosce gdyby jego romans z młodzieńcych lat wyszedł na jaw.

W CHACIE MAŁGORZATY

KAROL NIE NALEŻAŁ do tych, którzy łatwo tracą głowę. Teraz jednak z trudem zachowywał spokój. W pośpiechu opuścił plac przed piekarnią i pobiegł na koniec wsi, do chaty, w której mieszkał z matką. Na jego matkę wszyscy we wsi mówili po prostu Małgorzata. Zresztą, w okolicy, gdy mowa o kobietach, zwykle używa się samych imion. Zapewne dlatego, że z kobietami nikt się tutaj nie liczy. Małgorzata od razu domyśliła się, że coś ważnego musiało się wydarzyć. Jej syn jeszcze nigdy tak przenikliwie na nią nie patrzył.

– Matko – odezwał się wreszcie Karol – czy to prawda, że Ludwik, ojciec Marii, jest też moim ojcem?

– Boże Wszechmogący, co ja narobiłam – zawołała z przejęciem kobieta. – Przecież nie mogłam inaczej. Co teraz będzie? Co to będzie? – Małgorzata zaniósła się głośnym płaczem.

– Matko, odpowiedz mi, proszę. Czy to prawda, że ojciec Marii jest i moim ojcem?

– Karolu, nie pytaj mnie o to!

– Ale ja muszę wiedzieć. Ludwik wykrzyczał mi to prosto w twarz na placu przed piekarnią. Wszyscy go słyszeli.

– O Boże, o Boże!

– Maria spodziewa się mojego dziecka. Chcieliśmy, żeby jej ojciec pozwolił nam wreszcie być razem. A on nas wyklął i powiedział, że jesteśmy spokrewnieni, że jesteśmy bratem i siostrą.

– Co teraz będzie? Boże Wszechmogący!

– Czy to, co mówi Ludwik, jest prawdą?

– Co ja narobiłam!

– Czy to prawda?

– Skoro on sam tak powiedział...

– A więc to prawda! – Karol westchnął głęboko. – Matko, co za okrutny los!

– Nieprawda. Ludwik zawsze dawał mi na ciebie pieniądze.

– Matko! Co teraz z nami będzie? Ze mną i z Marią? Jesteśmy

zhańbieni! W całej wsi! A dziecko, które się narodzi? Nikt nawet na nie nie spojrzy. Ludzie będą spluwać na jego widok!

– Boże, co ja narobiłam!

Karol wstał gwałtownie.

– Nie mogę tu zostać. Potrzebuję powietrza. Muszę pomyśleć...

– Karolu – Małgorzata prosiła syna, łkając – nie zostawiaj mnie teraz samej. Cięży na mnie straszna wina.

– Muszę wyjść.

Przed chatą młody mężczyzna usiadł na ławce. Odetchnął głęboko, próbując zebrać myśli. Po chwili poczuł, że matka stoi przy nim i obejmuje go ramieniem.

– Chłopcze – powiedziała już nieco uspokojona Małgorzata – zapomnij o Marii. Jesteś młody i przystojny, nie boisz się pracy. Odsłużyłeś wojsko i zarobiłeś przy tym trochę pieniędzy. Możesz znaleźć szczęście u boku innej dziewczyny. Może to i lepiej, że udowodniłeś, że możesz mieć dzieci.

– Matko, co wy wygadujecie... Kocham Marię. I tylko Marię!

– Miłość? To głupota. Biedni ludzie nie powinni na coś takiego zwracać uwagi.

– Ależ matko, Maria nosi pod sercem moje dziecko. Nie mogę jej tak zostawić.

– Dlaczego ona się z tobą zadawała? Sama jest sobie winna. Ale i na to jest sposób, chłopcze – Małgorzata zachichotała.

– Sposób? O czym ty mówisz?

– No wiesz... Maria zamieszka w odległej wiosce i tam urodzi swoje dziecko. Odda je w opiekę doświadczonej kobiecie, która będzie je karmić tylko kwaśnym mlekiem. Dziecko nie będzie rosło i umrze po kilku tygodniach.

– Matko! Jak możesz?!

– I znowu wszystko będzie w porządku. Maria wróci do domu. Wyjdzie za mąż gdzieś daleko stąd, gdzie nikt nie będzie wiedział o waszym dziecku.

– Matko – westchnął Karol. – Nie wiem nawet, co powiedzieć.

– Widzisz, Małgorzata zawsze znajdzie rozwiązanie.

– Ale to nie jest żadne rozwiązanie! Naprawdę chcielibyście zabić

to dziecko?

– A kto tu mówi, żeby je zabić. Ono samo by umarło.

– Chcesz zabić dziecko moje i Marii?!

– A myślisz, że ile nieślubnych dzieci biegałoby po wsi, gdyby nie... no wiesz.

– Matko, to, co powiedzieliście... – umilkł. – Nie mogę tego zrobić. Nigdy.

Wstał gwałtownie i pobiegł przed siebie. Małgorzata patrzyła za nim długo, aż oddalająca się szybko postać zniknęła zupełnie w zapadającym zmierzchu.

DECYZJA

WIEDZIAŁA, ŻE TO może być tylko Karol. Nagle usłyszała delikatny szelest. Zmierzch już zapadł, ale Maria nie czuła strachu.

– Mario? – dziewczyna usłyszała w ciemności głos ukochanego.

– Wejdz Karolu – odpowiedziała cicho Maria. – Czekałam na ciebie.

Karol usiadł obok dziewczyny. Wkoło panował taki mrok, że Maria nie mogła nawet dostrzec twarzy ukochanego.

– Byłem u mojej matki – zaczął nieśmiało Karol.

– I co ci powiedziała?

– Nie chciała o tym ze mną rozmawiać. Ale... potwierdziła to... co już wiemy – odparł ze smutkiem.

– Że jesteśmy rodzeństwem! Och Karolu... – do oczu Marii napłynęły łzy i spływały strużkami po jej policzkach.

– Czy to oznacza, że teraz... nie będziemy już razem? Że nasze dziecko... musi być dzieckiem hańby. Karolu... tak bardzo cię kocham.

– Nie mów o tym Mario!

Przez chwilę oboje siedzieli w milczeniu.

– Co teraz będzie? Co będzie ze mną, z tobą... z dzieckiem?

– Nie opuszczę cię, Karolu. Kocham cię! Chcę być z tobą. Tak długo, jak będę żyła. Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez ciebie. Przeraza mnie myśl, że miałabym sama... Karolu, nie dam rady. Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie, że jesteśmy siostrą i bratem? Ty jesteś tym, o którym zawsze marzyłam!

– Mario, najdroższa, musisz być rozsądna. Jesteśmy rodzeństwem. Bratem i siostrą. Rodzeństwo nie może żyć ze sobą jak mąż i żona. Tak nie wolno.

– Dzieci Adama i Ewy też były rodzeństwem i pobrały się. Inaczej nie byłoby ludzi na ziemi. One na pewno nie mówiły: „Jesteśmy rodzeństwem, dlatego nie możemy się pobrać”.

– Masz rację. Na pewno tak nie mówiły. One mogły. Ale teraz przeciw nam są wszyscy. W naszym Kleinem nikt nie będzie myślał o

dzieciach Adama i Ewy. Będą wytykać nas palcami i przeklinać. I na pewno nigdy nie dostaniemy zgody na ślub.

– Nie możemy więc tutaj zostać. Widzieć ciebie tutaj... i nie móc być z tobą. To ponad moje siły. Nie wytrzymam tego.

– Mario, gdziekolwiek będziemy, zawsze już będziemy rodzeństwem.

– Ale gdzieś daleko stąd nikt nie będzie o tym wiedział, jeśli sami o tym nie powiemy. Moglibyśmy wziąć ślub i żyć tak, jakby nigdy nic...

– Myślisz, że moglibyśmy tak żyć gdzieś indziej?

– Możemy chociaż spróbować! Możemy jechać do Ameryki. Nikt nas tam nie zna, tam jest nasza przyszłość. Tam nasze dziecko nie będzie musiało żyć w pogardzie.

– Nasze dziecko! Nie pomyślałem o nim. Ono powinno mieć przyszłość. Masz rację, tutaj w okolicy nie mogłoby spokojnie żyć. Nawet w całym księstwie nie ma takiego miejsca, gdzie by nim nie pogardzano. Nie mamy wyboru. Musimy stąd wyjechać. I to szybko.

– Jedźmy do Ameryki! Podobno tam jest dużo ziemi. Tam założymy gospodarstwo.

– W Kassel – głośno myślał Karol – jest pośrednik, który sprzedaje bilety na statek z Bremy do Baltimore. Pojadę do niego. Myślisz, że uda nam się zebrać pieniądze na podróż?

– Ojciec zarządza pieniędzmi, które zostawiła mi matka. Będzie musiał mi je dać, jeśli zdecyduję się odejść. To będzie z pewnością ponad sto albusów. Czy to wystarczy na bilet dla nas obojga?

– Ja mam przecież pieniądze od Hennera z Gellershausen, za którego byłem w wojsku.

– Byłeś w wojsku za kogoś? Myślałam, że musiałeś odbyć służbę.

– Nie, młodych mężczyzn jest zbyt wielu. Wojsko w Arolsen nie potrzebuje wszystkich. Dlatego jest losowanie. Na mnie nie trafiło, ale padło na Hennera, syna bogatego gospodarza. Trzy lata służby to było dla niego za długo, nie chciał opuszczać gospodarstwa ojca. Poszedłem za niego i zapłacił mi za to 120 albusów.

– Zaoszczędziłeś te pieniądze?

– Oczywiście. Nic nie wydałem.

– Wspaniale! W takim razie mamy pieniądze na podróż, Karolu.

– I może zostanie ich na tyle, byśmy jeszcze mogli za nie kupić ziemię.

– Ach, Karolu! – Maria objęła siedzącego obok niej młodzieńca.

– Siostrzyczko! – chłopak przytulił Marię. Nie pocałował jej jednak.

– Do Kassel wyruszę jutro rano. Nie mów na razie nikomu o naszym wyjeździe, chcę najpierw wszystkiego się dowiedzieć.

– Dobrze, najdroższy!

– W czwartek wieczorem powinienem być z powrotem, jeśli wszystko pomyślnie się ułoży. Przyjdę tutaj po zachodzie słońca i powiem ci co i jak.

– Będę czekała!

W DOMU

NASTĘPNEGO DNIA MARIA, jak zwykle, wstała wczesnym rankiem. Poprzedniego wieczoru cicho zakradła się do izby i nikogo już nie spotkała. Kiedy o świcie weszła do kuchni, Anna-Katarzyna, jej macocha, już tam była.

Kobieta przyglądała się dziewczynie badawczo. Po chwili rzekła:

– Twój ojciec powiedział mi, co zdarzyło się wczoraj na placu przed piekarnią.

Maria nie zareagowała.

– Nie masz mi nic do powiedzenia?

– Cóż mam rzec? To prawda, że spodziewam się dziecka. To jest dziecko Karola.

– I dziecko hańby! – Anna-Katarzyna podniosła głos.

– Nie, ani Karol, ani ja nie wiedzieliśmy, że...

– Ale to niczego nie zmienia. Gdybyś tylko posłuchała ojca! On dobrze wiedział, dlaczego nie chciał zgodzić się na twój ślub z Karolem.

Maria nie odezwała się ani słowem.

– Wczoraj wieczorem był wściekły. Mam nadzieję, że dziś rano złość mu minęła. Chcę z nim porozmawiać. Byłoby lepiej, gdyby cię tu nie spotkał.

– Dlaczego? Czy tylko ja jestem temu winna? Czy on niczym nie zawinił?

– Jak możesz tak mówić? Dobrze wiedziałaś, że nigdy nie zgodziłby się na twój ślub z Karolem. Zabronił ci się z nim spotykać. A ty, mimo zakazu, widywałaś się z tym chłopakiem – nie posłuchałaś ojca. Sama postarałaś się o dowód swojej winy. Nosisz pod sercem bękarta!

– Moje dziecko nie jest bękartem.

– Kłótnia o to na nic się teraz nie zda. Próbowałam uspokoić twojego ojca. Myślę, że trzeba będzie szybko poszukać kogoś, kto mieszka dostatecznie daleko i zgodzi się ciebie natychmiast poślubić, oczywiście za dobrą cenę. Będzie musiał zaakceptować twoje dziecko i

uznać je za swoje. Ojciec nie będzie na to skąpił pieniędzy.

Maria nadal słuchała w milczeniu.

– Ludwik uspokoił się dopiero wtedy, gdy mu to zaproponowałam. Powiedz, czy to nie jest dla ciebie dobre rozwiązanie?

Maria wciąż była oszołomiona. „Oczywiście – pomyślała – próbujesz się mnie pozbyć. Dla ciebie byłoby lepiej, gdybym zniknęła stąd jak najszybciej.”

– Nie – wykrzyczała ze złością – to nie jest dla mnie dobre rozwiązanie. Nie chcę żyć z mężczyzną, którego nawet nie znam. Chcę...

– Chcesz tego, co mówi twój ojciec – odpowiedziała ostro Anna-Katarzyna. – Dość już sprowadziłaś na nas nieszczęścia przez swoje nieposłuszeństwo.

Macocha Marii podeszła do paleniska, w którym płonął ogień. Nad nim, na żelaznym łańcuchu, wisiał kocioł. Anna-Katarzyna zawiesiła go niżej. Był już najwyższy czas by zacząć gotować zupę.

– W takim razie wolę jechać do Ameryki – wyrwało się Marii. I w tym momencie przypomniała sobie słowa Karola, by nikomu o tym nie wspominała. Jednak było już za późno.

– Chcesz jechać do Ameryki? Całkiem sama? W twoim stanie?

Maria westchnęła głęboko i rzekła:

– Tak. Sama. Poradzę sobie.

W myślach dodała: „Z Karolem poradzę sobie ze wszystkim”. Ale nie powiedziała tego głośno.

– Naprawdę tego chcesz? Chcesz jechać do Ameryki? – im dłużej Anna-Katarzyna o tym myślała, tym bardziej podobał jej się ten pomysł.

– Dobrze, jeśli tego chcesz, porozmawiam z twoim ojcem. – Jej twarz rozjaśniła się.

– To może jest nawet lepsze wyjście w twojej sytuacji – rozważała głośno.

W duchu natomiast już przeliczała korzyści płynące z takiego rozwiązania: „Tak będzie na pewno taniej. Dostanie swoją część po matce i pieniądze na podróż. Więcej nie będzie jej potrzebne. Zaoszczędzimy sporo z tego, co musielibyśmy zapłacić komuś, kto zgodziłby się ją poślubić”.

– Nie martw się, na pewno przekonam go, żeby pozwolił ci jechać.

– Słowa macochy brzmiały bardzo przyjaźnie. Kobieta uśmiechnęła się troskliwie i dodała:

– Ale musiałybyś wyruszyć niebawem. Później podróż mogłaby być dla ciebie bardzo uciążliwa.

„Nie możesz się doczekać, kiedy się mnie pozbędziesz” – pomyślała Maria, a głośno dodała:

– Spróbuję dostać się na najbliższy statek. Anna-Katarzyna nie potrafiła ukryć zadowolenia.

– Idź teraz do swojej pracy, a ja postaram się o to, żeby ojciec pozwolił ci jechać do Ameryki.

– Dziękuję – odpowiedziała Maria, nie patrząc Annie– Katarzynie w oczy.

SPOTKANIE

PRZED ZAPADNIĘCIEM ZMIERZCHU Maria udała się do swojej kryjówki. Usiadła na pokrytej miękkim mchem ziemi i wyczekiwała w napięciu Karola. Miał dziś wrócić z Kassel. Ciekawe czego się dowiedział? Nie mogła się doczekać wieści od brata.

Siedząc w swojej samotni, wracała myślami do ostatnich wydarzeń. Ojciec na początku zupełnie nie zwracał na nią uwagi. Zachowywał się tak, jakby Marii w ogóle nie było. Wczoraj jednak, kiedy pracowała w ogrodzie, przywołał ją nagle do siebie.

– Anna-Katarzyna powiedziała mi, że chcesz jechać do Ameryki.

– Tak, ojcze, chcę.

– Skoro tak, nie będę się temu sprzeciwiał. Opłacę twoją podróż i dam ci pieniądze, które zostawiła ci twoja matka. Za nie będziesz mogła zacząć tam nowe życie.

– Dziękuję, ojcze.

– W przyszłym tygodniu pojadę do Kassel, do pośrednika, który sprzedaje bilety na statek. Wszystko z nim dogadam.

– Dziękuję.

Po tych słowach ojciec odwrócił się i odszedł.

„On też chce się mnie pozbyć” – pomyślała Maria, czekając niecierpliwie na Karola. „Gdzie on się podziewa?”

Jest już zupełnie ciemno. Mówił przecież, że dziś wraca z Kassel. Dlaczego nie przychodzi?” Nagle Maria przerwała rozmyślenia, czując jak ogarniają ją wątpliwości. Jakiś wewnętrzny głos podsuwał jej pełne niepokoju słowa: „On nie wróci. Dobrze zrobi, jak rozejrzy się gdzieś indziej. Po co mu te kłopoty z tobą i z dzieckiem? Łatwiej jest zostawić wszystko i odejść”.

Chwilę później w jej głowie pojawiła się inna myśl: „Nie, nie. Karol na pewno musiał dłużej zostać w Kassel i wróci jutro”.

Nieco przestraszona Maria przysłuchiwała się głosom pochodzącym z jej wnętrza. „Na pewno musiał zostać dłużej – pomyślała. – Karol nie złamałby danego słowa. Nie zostawi mnie. A

jeśli...?”

Dziewczyna czekała, aż wszędzie księżyc. Karol nie przyjechał tego dnia. Wyszła więc ze swojej kryjówki i wróciła do domu.

NASTĘPNEGO DNIA MARIA intensywnie pracowała w ogrodzie przy ziołach. Wątpliwości nie opuszczały jej ani na chwilę. Jej serce na przemian wypełniała obawa i nadzieja.

Po południu Anna-Katarzyna zawołała Marię do domu. W izbie czekał na nią gość. To był tutejszy pastor. Dziewczyna lubiła tego rozważnego, ale i dość wesołego mężczyznę, który teraz siedział za stołem i najwyraźniej czekał na nią.

– Mario – odezwał się pastor do wchodzącej dziewczyny – słyszałem, że chcesz jechać do Ameryki.

Maria wstrzymała oddech. „Czy o tym mówi się już w całej wiosce? Jak inaczej pastor mógł się dowiedzieć?”

– Najpierw trochę się zdziwiłem – kontynuował duchowny – ale potem dobrze to przemyślałem.

Maria z trudem mogła zebrać myśli. „To na pewno Anna-Katarzyna opowiedziała w wiosce o moich planach, o tym, że chcę wyjechać. To na pewno ona – domyślała się dziewczyna. – Anna-Katarzyna nie może doczekać się mojego wyjazdu. Nic nie zauważyłam, bo nie wychodziłam z domu.”

– Ty i Karol obarczyliście siebie ogromną winą – stwierdził pastor. – Niezamierzoną wprawdzie, ale jednak.

Maria popatrzyła pastorowi prosto w oczy. Nie czuła się winna. Chciała opowiedzieć mu o dzieciach Adama i Ewy, które też były rodzeństwem. Pastor jednak mówił dalej:

– Podjęłaś dobrą decyzję, by wszystko zacząć od nowa w nowym miejscu. Tam nikt nie musi wiedzieć, kto jest ojcem twojego dziecka. Tam ono się narodzi i wyrośnie. A przeszłość nie będzie dla ciebie aż takim ciężarem.

Pastor zamilkł. Kiedy Maria nic nie odpowiedziała, zaczął ją podtrzymywać na duchu:

– Bóg wie, że nie wiedzieliście, co czynicie. Wybaczmy wam.

Maria milczała nadal.

– Nie będzie ci łatwo samej wychować dziecko. W Ameryce pieniądze też nie leżą na ulicy. Będziesz musiała ciężko pracować.

– Nie boję się ciężkiej pracy – odpowiedziała cicho Maria. I pomyślała: „Nie będę tam sama... przecież jedzie ze mną Karol. Ale o tym pastor nie wie”. – Ale co będzie z Karolem?

– Dla Karola też znajdzie się rozwiązanie – wymijająco odpowiedział pastor. – Ale teraz ty jesteś najważniejsza. Nie martw się o niego, Karol będzie wiedział, co ma robić. W żadnym razie nie wolno wam się już spotykać.

– Mamy się nie spotykać? Dlaczego? – w głosie Marii słychać było wzburzenie i żal.

– Moglibyście znów ulec pokusie i dalej trwać w grzesznym związku. Dlatego lepiej będzie, jak stąd wyjedziesz, najszybciej, jak to możliwe.

Maria posmutniała i spuściła głowę.

– Rozmawiałem z twoim ojcem. Opłaci ci podróż, będziesz mogła wypłynąć najbliższym statkiem. Postaram się, aby w wiosce godnie cię pożegnano. Wiedz o tym, że Bóg będzie pomagał ci również w Ameryce. Nie opuści cię, nawet na obcej ziemi.

– Wiem. Dziękuję.

– Obiecuję ci, że będziesz mogła pożegnać się ze wszystkimi w wiosce i razem cię odprowadzimy. Nikt nie będzie ci robił wyrzutów z powodu twojego grzechu.

– Dziękuję – odpowiedziała cicho Maria. Pożegnała się z dostojnym gościem i wróciła do pracy w ogrodzie. Tutaj mogła jeszcze raz wszystko na spokojnie przemyśleć, ale przychodziło jej to z dużym trudem. W jej głowie wciąż kołatała się jedna myśl: „Mam nadzieję, że Karol pojawi się dziś wieczorem”.

Ale Karol i tym razem nie przyszedł...

NASTAŁ KOLEJNY PORANEK. W nocy Maria ani na chwilę nie zmrużyła oka. „Karol już nie wróci. Zrzucił z siebie brzemię i uciekł – myślała. – Muszę się teraz zastanowić, jak sama sobie poradzę.”

Anna-Katarzyna nadal była dla niej bardzo miła.

– Twój ojciec w poniedziałek wybiera się do Kassel – oznajmiła

Marii przy śniadaniu. – Sprawdzi, kiedy wypływa najbliższy statek do Ameryki i postara się o bilet dla ciebie. – Kobieta uśmiechnęła się do Marii promiennie. – Nie cieszysz się?

– Cieszę się – odpowiedziała Maria bez entuzjazmu i pomyślała: „To właśnie chciałaś usłyszeć, czyż nie?”.

– Zastanówmy się, co będziesz musiała wziąć ze sobą. Może się okazać, że do wyjazdu zostanie ci bardzo niewiele czasu.

Wszystko, o czym mówiła macocha było Marii zupełnie obojętnie, bo w jej głowie kołatała się tylko jedna myśl: „Wszystko mi jedno, skoro Karol ze mną nie jedzie...”.

– Twój kufer nada się na podróż. Do niego możesz zapakować wszystko, co będzie ci potrzebne: bieliznę, ubranie i coś do jedzenia. Kufer jest duży, wszystko powinno się w nim zmieścić.

– Na pewno.

– Powinnaś wziąć ze sobą także kilka pieluch. Będziesz ich przecież potrzebowała.

– Oczywiście – potwierdziła Maria. – Będę potrzebowała pieluch.

– Powinnaś też zacząć się żegnać z mieszkańcami Kleinem – zaproponowała Anna-Katarzyna. – Jeśli okaże się, że statek wypływa niedługo, później możesz nie mieć na to czasu.

Po południu Maria wybrała się do krewnych – dzieci i wnuków siostry jej babki. Wszyscy już wiedzieli, że Maria wyjeżdża.

Stara kobieta, siostra jej babki, wzięła ją za ramię i zaprowadziła do izby.

– Muszę z tobą porozmawiać, dziecko – od razu przeszła do sedna sprawy. – Nie mogłaś wiedzieć, że Karol jest twoim bratem. Mnie też trudno to sobie wyobrazić, ale twój ojciec i Małgorzata wiedzą, co mówią. Nie byłoby w tym nic złego, gdybyś nie urodziła tego bękarta. Myślałam o tym. Znam pewną kobietę w Giflitz, ona by ci pomogła. To wcale nie takie trudne, a pozbyłabyś się kłopotu.

Kobieta patrzyła na Marię wyczekująco.

– Pozbyć się dziecka? – wydukała przerażona Maria. – Nigdy! Dziecko nie jest niczemu winne. Chcę, żeby żyło.

– Głupiaś! – zganiła ją kobieta. – Pomyśl tylko. Bez dziecka mogłabyś jeszcze dobrze wyjść za mąż. Mogłabyś zostać w kraju i nie

musiałabyś tulać się po świecie.

– Na pewno dobrze mi radzicie – odpowiedziała przejęta Maria – ale nie mogłabym tego zrobić. Chcę, żeby moje dziecko żyło, nawet jeśli wiąże się to z wyjazdem do Ameryki.

– Nie pozwalasz sobie pomóc, nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić – stwierdziła sucho kobieta, wzruszając ramionami. – Pamiętaj, weź ze sobą na drogę dużo jedzenia. Mamy już przygotowaną dla ciebie suszoną kiełbasę.

– Dziękuję wam – odpowiedziała Maria.

Maria odwiedziła tego popołudnia jeszcze innych krewnych. Mówili niewiele, wszyscy obdarowywali ją kiełbasą i wędzonką. Chcieli jej pomóc chociaż w ten sposób, wszak podróż statkiem trwa kilka tygodni, a każdy z pasażerów musi mieć swój prowiant.

„Czy uda mi się jeszcze dziś wieczorem pójść do mojej kryjówki w żywopłocie? – zastanawiała się Maria.

– Może Karol wrócił z Kassel i czeka tam na mnie?” Ale wieczorem zaczął padać rzęsy deszcz. Maria została w domu. Wcześniej położyła się spać.

W nocy zbudziły ją ze snu odgłosy za oknem. Ktoś rzucał w okno małymi kamykami. Gdy Maria nieco oprzytomniała, zorientowała się, że to pewnie Karol przyszedł, by z nią porozmawiać. Czym prędzej otworzyła w swojej izbie okno wychodzące na ogród za domem i rozejrzała się dookoła. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Tak, to Karol! Wrócił! Maria cicho wymknęła się z domu i pobiegła do ogrodu. Podekscytowana rzuciła się Karolowi w ramiona.

– Bałam się, że... że już nie wrócisz – załkała cicho i przytuliła się jeszcze mocniej.

– Tak źle o mnie myślisz? Pośrednika akurat nie było w Kassel. Musiałem dwa dni na niego czekać, dlatego dopiero dziś wróciłem.

– Ach, Karolu! – westchnęła z ulgą Maria.

– Obiecuj mi, że nigdy już tak o mnie nie pomyślisz.

– Obiecuję.

– Wydarzyło się coś tutaj, kiedy mnie nie było?

– Pastor był u nas. Mówił, że podjęłam dobrą decyzję. Anna-Katarzyna już nie może się doczekać, kiedy wyjadę. Ojciec

wybiera się w poniedziałek do Kassel, żeby kupić dla mnie bilet na statek.

– Mam już dla nas bilety. Razem wsiądziemy na statek w Bremie i...

– Karolu, kiedy jesteś przy mnie, mogę iść pieszo nawet na koniec świata.

– To bardzo daleko – uśmiechnął się Karol.

– Z tobą i tak pójdę.

– Och, gdybyśmy mogli już udać się w drogę!

– Tym właśnie się martwię. Jeśli razem opuścimy wioskę, obrzucą nas kamieniami. Ojciec zapewne nie pozwoli mi zabrać kufra.

– W takim razie najlepiej będzie, jeśli sama opuścisz wioskę. Ty będziesz mogła pożegnać się ze wszystkimi. Ja zaś wyjadę w tajemnicy i spotkamy się w Kassel, kiedy już zostawisz swój bagaż u pośrednika.

– Masz zawsze takie dobre pomysły, Karolu. I wiesz co? Nie chcę jechać do Bremy dyliżansem pocztowym.

To dużo kosztuje, a w Ameryce będziemy potrzebowali pieniędzy.

– Naprawdę chcesz iść pieszo całą drogę? W twoim stanie?

– Nie jestem chora. Dobrze się czuję, a do rozwiązania zostało jeszcze dużo czasu. Poradzę sobie. Idźmy pieszo, zaoszczędzimy w ten sposób sporo pieniędzy.

– Dobrze, Mario. Jesteś mądrą kobietą.

– Mnie też tak się wydaje...

Karol w żartach pogroził Marii palcem.

– Karolu – odezwała się po chwili dziewczyna – czy twoja matka pozwoli ci wyjechać?

– Nie może mi tego zabronić. Już jej powiedziałem, że ciągnie mnie w świat. Nie była zadowolona, ale w końcu się zgodziła. Ma nadzieję, że gdzieś tam mi się poszczęści i będzie mogła zamieszkać ze mną.

– Może mogłaby przyjechać do nas do Ameryki.

– Najpierw sami musimy tam dotrzeć. Potem wszystko jakoś się ułoży.

POŻEGNANIE

KUFER MARII – SOLIDNIE ociosana, rzeźbiona drewniana skrzynia – wypełniony był po brzegi. Anna-Katarzyna podarowała jej kilka łokci dobrego lnianego płótna, z którego dziewczyna będzie mogła w swej nowej ojczyźnie zrobić posłanie. Maria zapakowała też parę butów i kilka sukienek, między które włożyła gliniane naczynia, kilka noży różnej wielkości, jeden widelec, łyżkę, łyżeczkę i mały garnek. I oczywiście kubek. To powinno jej wystarczyć na początek. Zabrała także wędzoną szynkę, suszoną kiełbasę i słoninę, które będą jej służyć za prowiant w czasie podróży statkiem. Pasażerowie na półpokładzie dostają jedynie wodę i suchary. Dobrze jest mieć ze sobą choć trochę szynki lub słoniny.

„Będę mniej jadła – pomyślała Maria. – Wtedy jedzenia wystarczy i dla Karola.”

Anna-Katarzyna nie dowiedziała się o pieniądzech, które Maria dostała od swojej matki chrzestnej. Dziewczyna nie schowała ich do kufra, tylko do woreczka, który miała zawieszony na szyi, i którego postanowiła nie zdejmować ani w dzień, ani w nocy. Pieniądze dawali jej też inni mieszkańcy wioski, kiedy chodziła od domu do domu, żeby się pożegnać. Wszyscy byli dla niej bardzo mili. Nikt nawet słowem nie wspomniał o hańbie, jaką na siebie ściągnęła. Ale nikt też nie żałował, że Maria opuszcza wioskę. Wszyscy – czuła to wyraźnie – byli przekonani, że to jedyne rozwiązanie.

OJCIEC WRÓCIŁ z KASSEL. Kupił tam dla Marii bilet na statek. Był to ten sam żaglowiec, który zarezerwował dla nich Karol.

– Statek nazywa się „Syrena” – powiedział ojciec. – Pośrednik w Kassel powiedział, że statek wypływa z portu dziewiętnastego maja, musisz więc być w Bremie najpóźniej osiemnastego. Zabiorę ciebie i twój bagaż do Kassel, stamtąd dyliżansem pocztowym pojedziesz do Bremy.

Maria zgodziła się na wszystko:

- Dobrze, ojciec.
- Dostaniesz ode mnie pieniądze, które zostawiła ci twoja matka. Powinienem ci je dać w dniu ślubu, ale dam ci je już teraz, żebyś miała za co zacząć nowe życie w Ameryce.
- Dziękuję, ojciec.
- Podróż zaczniesz u pośrednika w Kassel. Zostawisz u niego bagaż i stamtąd będziesz mogła ruszać w dalszą drogę. Do portu, jak wspomniałem, możesz dojechać dyliżansem albo iść pieszo.
- Wolałabym oszczędzać pieniądze, więc chętnie pójdę pieszo, ojciec.
- Widzę, że jesteś moją córką. Ja postąpiłbym tak samo. I... – ojciec kiwnął na Marię i szepnął jej do ucha – dołożę ci trochę pieniędzy od siebie, Anna-Katarzyna nie musi o tym wiedzieć. Pamiętaj tylko, że droga do portu jest długa. Jeśli naprawdę chcesz iść pieszo, nie powinnaś zwlekać.
- Kiedy chcesz zawieźć mój kufer do Kassel, ojciec? Mogłabym pojechać z tobą.
- Wyjedziemy pojutrze, kiedy dzwony będą biły na dziesiątą.
- Dobrze, ojciec.

NADSZEDŁ DZIEŃ ODJAZDU. Poprzedniego wieczoru Maria pobiegła na chwilę do swojej kryjówki w żywoptocie. Chciała pożegnać się z miejscem, które tak wiele dla niej znaczyło. „Będę za tobą tęsknić, kochany żywoptocie. Chowałeś mnie i chroniłeś. Czy jeszcze kiedyś ktoś odkryje to miejsce?”

Dojrzewające zboże i unoszący się wkoło zapach kwiatów przywołały wspomnienia z dzieciństwa, kiedy jeszcze żyła jej matka i Maria bawiła się swoją lalką na skraju pola, podczas gdy jej rodzice zbierali ziemniaki albo siekali buraki pastewne. Właśnie, lalka... jeszcze ona powinna znaleźć się w kufrze, musi o tym koniecznie pamiętać! Ta lalka miała prawdziwe włosy. Pewnego dnia matka Marii obcięła swoje włosy i zawiozła je do perukarza w Nieder-Wildungen, żeby ten zrobił perukę dla lalki. „Kochany żywoptocie, jakież wspomnienia przywołujesz na pożegnanie?”

Maria przypomniała sobie też cudowne spotkania z Karolem... Nie

zobaczy go już przed wyjazdem. Karol powiedział matce, że chce w Hesji rozejrzeć się za pracą. Małgorzata była tym bardzo poruszona. Uważała, że w okolicach Kassel jest wiele bogatych wiosek z dużymi gospodarstwami, gdzie mógłby się przydać do pomocy.

– Dorla, Werkel, Lohne, Krone – wyliczała synowi Małgorzata – tam masz szansę, by znaleźć pracę i ożenić się z córką jakiegoś bogatego chłopca. Nie musi być ładna. Wiesz przecież, że duże gospodarstwo i worek pieniędzy niejedną fałdę wygładzą. Dobrze wyglądasz, na pewno będziesz podobał się dziewczętom.

Karol tylko uśmiechnął się słysząc słowa matki.

– A kiedy już się ustakujesz, zabierzesz mnie do siebie... – Małgorzata zapakowała synowi trochę jedzenia w lniany worek i bez wylewnych pożegnań wysłała go w drogę.

„Małgorzata bardzo się zdziwi, kiedy dostanie od syna list z Ameryki” – pomyślała Maria, przyglądając się jak ojciec ustawia na wozie jej kufer. Dziewczyna wybiegła z domu i skierowała do kościoła. Wybudowano go na polecenie hrabiego Christiana. Był kościołem dworskim, od kiedy przeniesiono tu siedzibę księstwa. Dlatego jest taki okazały, o wiele za duży na taką wioskę, ale jego drzwi są zawsze otwarte.

Gdy dotarła na miejsce, zaczęła wpatrywać się w rzeźbiony ołtarz, dużo starszy niż sama świątynia. „Muszę zapamiętać każdy szczegół. Na pewno nigdy już nie zobaczę niczego równie pięknego.” Usiadła w ławce i patrzyła przed siebie. „Tu byłam chrzczona i konfirmowana [Konfirmacja [łac. *confirmatio* ‘umocnienie’] – praktykowany w protestantyzmie obrzęd przyjmowania do gminy religijnej młodzieży po uprzednim zdaniu przez nią egzaminu z zasad wiary i publicznym jej wyznaniu; w katolicyzmie konfirmacją nazywa się czasami sakrament bierzmowania.] – myślała. – Przed tym ołtarzem klęczałam, kiedy pastor położył na mnie ręce i odmówił błogosławieństwo. Myślałam, że tu niedługo wezmę ślub. Ale to wydarzy się już gdzieś indziej...”

Jeszcze chwilę siedziała sama w zupełnej ciszy. W końcu wstała i skierowała się w stronę miejscowego cmentarza. Z rosnącego przy wejściu krzaka zerwała dziką różę. Zatrzymała się przy niewielkim kopcu porośniętym trawą, usypanym pomiędzy dwiema dzikimi jabłonkami. Rósł na nim posadzony przez Marię krzak rozmarynu.

„Matko, opuszczam Kleinem na zawsze – szepnęła wzruszona

Maria. – Robię to dla twojego wnuka. Dla mnie i dla Karola też.” Po czym położyła na grobie różę i przysiadła na stojącej obok ławeczce.

Niespodziewanie przyszły jej na myśl dzwony. „Nasze dzwony. Chcę jeszcze raz je usłyszeć.”

W kościele były trzy stare dzwony. Za chwilę miały zacząć bić na dziesiątą. Usłyszycie je po raz ostatni. To będzie też znak do wyjazdu.

„Chciałabym jeszcze napić się wody z naszej studni – pojawiła się kolejna myśl. – Woda ze studni jest tak przyjemnie chłodna i orzeźwiająca.” Maria podniosła się w pośpiechu, pożegnała wzrokiem cmentarz z jego drzewami owocowymi, jeszcze raz spojrzała na grób matki i pobiegła do studni. Nabrała nieco wody dłonią, podniosła ją ostrożnie do ust i z lubością wypila do ostatniej kropli.

Dzwony zaczęły bić na dziesiątą. Ten zwyczaj przetrwał podobno od czasów, kiedy w tej okolicy panowała dżuma. Maria jeszcze przez chwilę wsłuchiwała się w dźwięk dzwonów, zauroczona melodią, jaką wydzwaniały. Potem pobiegła do domu, do swojego domu, który już za moment miała opuścić na zawsze. „Coś jeszcze miałam zabrać ze sobą... Ach tak... lalkę!”

Przed domem Marii zebrało się sporo osób. Krewni, koledzy i koleżanki ze szkoły, sąsiedzi i wszyscy ci, którzy chcieli się z Marią pożegnać. Czekali tylko na nią.

Maria szybko wbiegła do domu i zabrała swoją ukochaną lalkę z dzieciństwa. Owinęła ją szmatką, chcąc ukryć zabawkę przed wzrokiem zebranych. Ostatni raz spojrzała na rodzinny dom i ruszyła w kierunku wozu, na którym był już jej bagaż. Konie niecierpliwie stukały kopytami, ojciec wymachiwał biczem. Maria wsiadła na wóz i zajęła miejsce obok ojca. Zawiniątko z lalką położyła pod siedzeniem.

Gdy Maria z ojcem zajechali pod kościół, pastor stanął przed wozem i gestem przywołał do siebie chłopca, który przyniósł ogromną, ciężką Biblię.

– Droga Mario – powiedział pastor – oto nadszedł czas pożegnania. Na zawsze opuszczasz ojczyznę. Wysłuchaj więc słów z Pisma Świętego. Dokądkolwiek się udasz, Bóg już tam jest i będzie cię chronił. W Psalmie 139 napisane jest:

*Panie, przenikasz i znasz mnie,
Ty wiesz, kiedy siadam i wstaję.
Z daleka przenikasz moje zamysły,
widzisz moje działanie i mój spoczynek
i wszystkie moje drogi są Ci znane.
Choć jeszcze nie ma słowa na języku:
Ty, Panie, już znasz je w całości.
Ty ogarniasz mnie zewsząd
i kładziesz na mnie swą rękę.
Zbyt dziwna jest dla mnie
Twa wiedza, zbyt wzniosła: nie mogę jej pojąć.
Gdzie się oddalę przed Twoim duchem?
Gdzie ucieknę od Twego oblicza?
Gdy wstąpię do nieba, tam jesteś;
jesteś przy mnie, gdy się w Szeolu położę.
Gdybym przybrał skrzydła jutrzycki,
zamieszkał na krańcu morza: tam również
Twa ręka będzie mnie wiodła
i podtrzyma mnie Twoja prawica.*

– Przyjmij teraz Mario błogosławieństwo Aarona: Niech cię Pan błogosławi i strzeże. Niech Pan rozpromieni oblicze swe nad tobą, niech cię obdarzy swą łaską. Niech zwróci ku tobie oblicze swoje i niech cię obdarzy pokojem. Amen. Jedź w pokoju i niech cię Bóg błogosławi!

Pan Kerl, młody nauczyciel, ustawił uczniów nieopodal wozu i zaintonował znaną wszystkim piosenkę:

*Troski serca swojego
zawierz, i całą siebie
wiernej opiece Tego,
który króluje w niebie.
Ten, który prowadzi
wiatr jego drogami,
I twoją drogę znajdzie,
nie jesteśmy sami.*

Dzieci śpiewały donośnie, po chwili dołączyli do nich również dorośli.

Ojciec delikatnie dał koniom znak, by ruszyły. Do wozu podbiegła Anna-Katarzyna, ścisnęła dłoń Marii i przejęta doniosłością chwili, wyszeptała słowa pożegnania. Z jej oczu popłynęły łzy. Do wozu podeszli i inni mieszkańcy wioski, by ostatni raz uścisnąć dłoń dziewczyny. Niektórzy podnosili dzieci, by też mogły pożegnać się z Marią. Kobiety dyskretnie ocierały z policzków łzy. „Ja nie będę płakać” – pomyślała Maria.

W końcu nadeszli też młodzieńcy, by odśpiewać piosenkę o Ameryce, która od dawna towarzyszyła wszystkim, którzy się tam udawali. W całej wiosce rozlegał się ich donośny śpiew:

*Nadszedł wreszcie ten czas,
Ameryka wzywa nas.
Wszystko gotowe, konie czekają,
Wszyscy mieszkańcy już nas żegnają.
Podają ręce, wycierają łzy
Płacząc na ten nasz los podły.
Bracia drodzy, nie żałujcie nas,
Choć to naszego rozstania czas.
Bo kiedy statek popłynie w dal
I serca nasze ogarnie żal,
Do nieba wzniesiemy naszą pieśń,
Dobry nasz Boże, Ty nas nieś.
Nie wiemy, co też dalej będzie,
Ale wierzymy, że Bóg jest wszędzie.
Nie płaczcie zatem już nad nami,
W drogę po szczęście wyruszamy.
Pociechą i radością to,
Że wiele dusz przed nami szło.
A gdy dotrzemy do Ameryki,
Wzniesiemy naszego zwycięstwa okrzyki
Victoria – rozlegnie się nasz głos,*

W Ameryce odtąd nasz los.

Maria nie potrafiła dłużej powstrzymać łez, które spływały strużkami po jej twarzy. Nagle głośny trzask bicia odstraszył chodzące wokół wozu kury. Spłoszone ptaki uciekły, głośno gdacząc. Ludzie też odsunęli się na bezpieczną odległość, gdyż wóz z każdą chwilą nabierał tempa.

Kilku młodzieńców biegło przez chwilę za nimi, ale wkrótce i oni zostali w tyle. Maria odwróciła się jeszcze kilka razy i pomachała na pożegnanie, wiedziała bowiem, że widzi wioskę po raz ostatni. Potem patrzyła już tylko przed siebie. Miarowy odgłos końskich kopyt trochę ją uspokoił. Zamyśliła się. Z odrętwienia wyrwał ją dopiero głośny, pusty dźwięk. To odgłos kół, gdy przejeżdżali po drewnianym moście na Ederze. Ten most trzeba było każdej wiosny budować od nowa. Przez cały rok Edera była spokojną rzeką, ale kiedy topniały śniegi robiła się groźna i nieprzewidywalna. Woda, spływająca z okolicznych gór, zalewała wtedy część doliny. Mosty i kładki porywał rwący nurt.

Jak to będzie w Ameryce? Podobno są tam okolice, gdzie nie ma jeszcze żadnych dróg, gdzie żyją jedynie dzicy Indianie. Ale ten obcy kraj jest też piękny, żyzny i słoneczny. I tam na świat przyjdzie ich dziecko. Tam będzie mogła żyć z ukochanym Karolem, choć jest jej bratem.

Konie galopowały. Minęli Wellen, minęli granice księstwa Waldeck i znaleźli się w Hesji. Po drodze minęli starą osadę Geismar, gdzie św. Bonifacy, apostoł Niemiec, obalił święty dąb pogańskiego plemienia Chatti, przodków dzisiejszych mieszkańców Hesji, aby pokazać im, że wszyscy ich bogowie, także ich najważniejszy bóg, Donar, podlegają Bogu chrześcijan.

Późnym popołudniem Maria i jej ojciec dotarli do Kassel. Maria jeszcze nigdy nie była w tak dużym mieście. Dotychczas знаła jedynie Nieder-Wildungen i wciąż nie mogła się nadziwić, ile tam było domów. A tutaj – czyż może być w ogóle tak wiele osób w jednym miejscu?! Ale Kassel jest przecież stolicą księstwa Hesji! Maria spojrzała w górę i dostrzegła w oddali ogromną zieloną figurę nagiego mężczyzny. To postać Herkulesa wieńcząca wieżę stojącą na wzgórzu. Maria uznała to

za bezwstydne, ale uznała, że ten kto ją tam postawił, musiał wiedzieć, dlaczego to robi i czemu ma to służyć.

– Dziś jest już za późno, by udać się do pośrednika – powiedział ojciec. – Pojedziemy od razu do gospody.

– „Gospoda Waldeck” – przeczytała Maria.

– W tej gospodzie nocują wszyscy, którzy przyjeżdżają z naszego księstwa – wyjaśnił jej ojciec.

Przez dużą bramę wjechali na przestronny dziedziniec. Podszedł do nich parobek, odpiął konie i poprowadził je do stajni.

– Zajmę się nimi! – zawołał do nowo przybyłych.

Maria weszła z ojcem do gospody i rozejrzała się wkoło.

– Tu przenocujemy – zdecydował ojciec. – Ja będę spał w tej sali na jednej z ławek, a dla ciebie na pewno znajdzie się miejsce na górze.

PO CHWILI WŁAŚCICIEL gospody wniósł na półmiskach przygotowaną dla gości kolację – gotowane mięso z kapustą. Maria poczuła nagle ogromny głód i przypomniała sobie, że od rana nic jeszcze nie miała w ustach. Z apetytem zabrała się więc do jedzenia. To samo uczynił jej ojciec.

Po kolacji Ludwik poszedł jeszcze zajrzeć do koni, by upewnić się, że dobrze się nimi zajęto. Zwierzęta były bardzo zmęczone tak długą drogą. Kiedy Maria została sama, podszedł do niej młody chłopak i zapytał:

– Panna Ruppert?

Maria przyglądała się mu zdumiona. Nigdy wcześniej nikt tak jej nie nazywał, w rodzinnej wiosce była po prostu Marią. W wielkim świecie jest więc panną Ruppert. Dziewczyna potakująco kiwnęła głową.

– Mam dla was wiadomość – powiedział chłopak i wcisnął jej do ręki kartkę. Maria przeczuwała, że to wiadomość od Karola. Drżącymi dłońmi rozłożyła papier i przeczytała: „Czekam na ciebie wczesnym popołudniem na starym moście na Fuldzie”. „Ależ Karol jest roztropny!” – pomyślała z uznaniem.

Maria była bardzo zmęczona długą podróżą, jednak dziwny wewnętrzny niepokój nie pozwalał jej się położyć spać. Poszła więc do stajni, gdzie stały konie jej ojca. W domu często się nimi zajmowała:

karmiła, czyściła, doglądała. „Jutro będę musiała się z wami pożegnać” – pomyślała ze smutkiem Maria. Nagle w kącie stajni dostrzegła kozła. Patrzyła na niego zaskoczona.

– Bardzo dziwne – powiedziała do siebie półgłosem.

– Co jest takie dziwne? – zapytał parobek, który pojawił się nagle, zupełnie niezauważony przez Marię.

– Ach, nic takiego – odparła Maria. Ale parobek nie dawał za wygraną:

– Coś was jednak zdziwiło?

– Zastanawiam się, dlaczego trzymacie w stajni kozła. – Taki jest u nas zwyczaj – odpowiedział parobek.

– Dzięki temu zwierzęta dobrze się chowają.

– Skąd to wiecie?

– Tak po prostu jest – parobek wzruszył ramionami. – Każdy to wie. Kto ma kozły w stajni, tego zwierzęta są zdrowe i dorodne.

Na dziedzińcu przed gospodą stało kilka ławek. Maria usiadła na jednej z nich. Po chwili przysiadł się do niej ojciec. Przyszedł też parobek zajmujący się końmi i spytał, czy może do nich dołączyć. Po zakończonej pracy w stajni miał teraz czas na fajeczkę. Wygrzebał z kieszeni rzeźbioną fajkę i woreczek z tytoniem.

Kiedy parobek upychał tytoń w fajce, ojciec zapytał go:

– Co to za dziwny tytoń palicie?

– To jest tytoń, który palę na tygodniu.

– Ależ to nie może być prawdziwy tytoń. Prawdziwy tytoń jest brązowy, a ten jest czerwony, żółty i różowy.

– A, o tym mówicie. Brązowy tytoń palę tylko w wielkie święto. Nie mam pieniędzy, żeby go palić codziennie. Ten, który palę teraz, robię sam. Z płatków róży. Suszę je na słońcu. W fajce smakują prawie tak dobrze, jak prawdziwy tytoń.

Za pomocą kamienia i kawałka żelaza parobek wykrzesał iskrę nad fajką, którą trzymał między kolanami. Iskra spadła na wysuszone płatki róży. Mężczyzna szybko wziął fajkę do ust i mocno się zaciągnął. Płatki róży zaczęły się tlić. Z fajki popłynęła biała smużka dymu, o bardzo przyjemnym zapachu.

– Czy smakuje równie dobrze, jak pachnie? – zagadnął ojciec.

Parobek przytaknął zadowolony.

– Skąd macie płatki róży? Na pewno sporo ich potrzeba – dopytywała Maria.

– To żaden sekret. Z parku przy zamku Wilhelmsdhe. Książę nie ma nic przeciwko temu, żeby ludzie zbierali przekwitnięte płatki róż. Tylko świeżo rozkwitłych kwiatów nie wolno zrywać, ogrodnicy tego pilnują.

– Wasz książę jest bardzo dobry – stwierdził ojciec.

– Dobry to on jest, ale też bardzo skrupulatny. Wiecie, co tu się niedawno wydarzyło? Wszyscy w okolicy jeszcze o tym gadają.

– Skąd mielibyśmy to wiedzieć – odparł ojciec. – Przyjechaliśmy z księstwa Waldeck.

– To posłuchajcie! Nasz łaskawy książę jest bardzo spostrzegawczy. Niedawno, jedząc bułkę, znalazł w niej coś ciemnego. Natychmiast kazał wezwać do siebie piekarza Murhardta, tego, który dostarcza pieczywo do zamku, żeby wyjaśnił całą sprawę.

– Czy to było...? – Marię zaskoczyła, a zarazem przestraszyła myśl, która przyszła jej do głowy.

– Słuchajcie dalej! Kiedy mistrz stanął przed księciem, ten wskazał palcem na coś, co leżało na stole na białym papierze. Murhardt spojrzał na to z niewzruszoną miną i nie rzekł ani słowa. Wtedy książę zaczął krzyczeć: „To! Co to jest? Czyż to nie są mysie odchody? Wtrącić go do lochu!”

Piekarz ani na chwilę nie stracił rezonu. Może w kuchni powiedziano mu już, dlaczego książę kazał go wezwać... W każdym razie rzekł tylko: „Wasza Wysokość raczy żartować. Mysie odchody? W moim pieczywie? To nedorzeczność!”

„Co? Nedorzeczność? – krzyknął wzburzony książę i ponownie wskazał palcem na to coś ciemnego na białym papierze. – A to, co to jest? Nic?”

Murhardt podszedł bliżej, skłonił się przed księciem i sięgnął po ciemną grudkę. Przytrzymał ją pod światło i dokładnie obejrzał, po czym, niewiele myśląc, włożył sobie do ust. Gdy przełknął, powiedział ze śmiechem: „Ależ Książę, to była rodzynka, tylko rodzynka!”

Cóż miał zrobić łaskawy książę? Zmrużył oczy, przyglądając się

piekarzowi. „A więc... rodzynka?” – powiedział. – „Ale następnym razem, czy to jasne...?”. Piekarz nie czekał dłużej, tylko czym prędzej się oddalił. Na pewno będzie teraz uważał, żeby nie musiał znów jeść rodzynek na zamku. Wszyscy śmieją się teraz z Murhardta i podziwiają jego roztropność.

– Nie każdy zdobyłby się na to, żeby jeść mysie odchody – powiedziała z obrzydzeniem Maria.

Zapadł zmierzch. Nadszedł czas, by udać się na spoczynek. Dziewczyna pożyczyła ojcu i parobkowi dobrej nocy i udała się do sali przeznaczonej na nocleg dla kobiet. Były tam cztery worki wypełnione słomą. Maria była jedyną kobietą, która nocowała wtedy w gospodzie, miała więc całe pomieszczenie tylko dla siebie.

WCZESNYM RANKIEM – kilka minut po szóstej – rozległo się wołanie na posiłek. Maria nie spała już od dłuższego czasu, leżała nieruchomo, przysłuchując się pianiu kogutów. Tutaj, w mieście, pianie kogutów słyhać było wszędzie. Na pewno przy każdym domu jest przynajmniej jeden kurnik. I koguty już od świtu próbują się przekrzyczeć. Takiego koncertu w Kleinem Maria nigdy nie słyszała.

Śniadanie składało się z suchego chleba i napoju przypominającego kawę, przyrządzonego z wysuszonych, a następnie uprażonych kawałków marchewki. Ten brązowo-żółty płyn miał lekko słodki, przyjemny smak. Maria i jej ojciec spożywali swój ostatni wspólny posiłek w całkowitym milczeniu.

– Mario – ojciec zwrócił się do niej po długiej chwili – jak osiedlisz się już gdzieś w Ameryce, napisz list, żebym wiedział, jak ci się wiedzie.

– Dobrze, ojcze.

Mężczyzna znów zamilkł.

„Dlaczego nie mówi, że chce wiedzieć, czy moje dziecko urodzi się zdrowe? Przecież to jego wnuk” – pomyślała Maria.

Ale ojciec powiedział tylko:

– Chodźmy teraz do pośrednika, córko. Będę mógł jeszcze dziś wrócić do domu.

Maria nic nie odpowiedziała. Ojciec przywołał właściciela gospody

i zapłacił za ich nocleg i posiłki.

– Jeśli chciałybyś tu jeszcze dziś przenocować, zapłacę za jeszcze jedną noc – zaproponował Ludwik.

Maria pokręciła przecząco głową.

– Nie, ojciec. Chcę zaraz ruszyć w drogę.

Ojciec ucieszyła odpowiedź Marii. Poszedł do stajni, żeby przygotować konie do drogi. Wcisnął parobkowi do ręki monetę i przywołał córkę. Byli gotowi, by jechać do pośrednika.

Na miejsce dotarli bardzo szybko. Okazało się, że są zbyt wcześnie. Dopiero głośnie pukanie zbudziło mężczyznę, który najwyraźniej nie spodziewał się wizyty tak rano. Pojawił się w oknie sypialni jeszcze w szlafmycy.

– Tu, w mieście, nie wstajemy tak wcześnie – krzyknął do przybyłych. – Zaczekajcie chwilę, zaraz was przyjmę.

Cóż innego im pozostało? Minęło sporo czasu nim pośrednik, mężczyzna w średnim wieku, otworzył drzwi swojego biura i był gotów do przyjmowania klientów. Teraz odziany był już zupełnie inaczej, miał na sobie jasnobrązowe zamszowe spodnie do kolan i pończochy z jasnego jedwabiu.

Mężczyzna uklonił się Marii i zaprosił ją do środka. Kiwnął ręką na ojca, aby ten również wszedł. W biurze panował półmrok, w powietrzu unosił się zapach starych książek, kurzu i atramentu.

– Macie ze sobą umowę? Pokażcie!

Ojciec wyjął z kamizelki złożoną kartkę papieru i podał ją pośrednikowi.

– Umowa dotyczy panny Marii Ruppert z Kleinem, która będzie podróżować na pokładzie „Syreny” z Bremy do Baltimore. Statek odpływa wczesnym rankiem dziewiętnastego maja, dlatego musicie być w Bremie najpóźniej osiemnastego maja wieczorem. Jeżeli chcecie jechać do portu dyliżansem, macie jeszcze czas. Jeśli jednak chcecie udać się tam pieszo, należałoby niezwłocznie wyruszyć w drogę.

– A mój bagaż? – Maria wskazała skrzynię na wozie.

– O bagaż proszę się nie martwić, droga panno! – uśmiechnął się mężczyzna. – Bagaże wszystkich podróżnych sami dostarczymy do portu i załadujemy na statek. Będą umieszczone w luku bagażowym i

zostaną wydane pasażerom po przybyciu do Baltimore.

Pośrednik użył małego dzwonka, na dźwięk którego w biurze zjawił się leciwy mężczyzna. – Weź tę skrzynię z wozu i zanieś ją do magazynu – zlecił mu pośrednik.

Chwilę później skrzynia była już przeniesiona we wskazane miejsce.

– Umowę weźcie ze sobą. Będzie wam potrzebna na statku. I pamiętajcie, że najpóźniej osiemnastego wieczorem musicie być na miejscu. Ale... – mężczyzna dziwnie się uśmiechnął i zapytał:

– Dlaczego taka piękna dama musi wyjeżdżać do Ameryki? Mogłaby przecież zostać w kraju i – pośrednik dumnie wypiął pierś – na pewno znalazłby się mężczyzna, którego uczyniłaby szczęśliwym.

– Tak – odpowiedział ojciec – ale niełatwo znaleźć właściwego kandydata.

– Może wcale nie trzeba tak daleko szukać – stwierdził pośrednik, gładząc swoją jedwabną apaszkę i patrząc w oczy Marii. Na twarzy dziewczyny pojawił się delikatny rumieniec, który dodał jeszcze blasku jej niebieskim oczom.

– Nie trzeba tak od razu wyjeżdżać. W ojczyźnie też żyje się bardzo dobrze – dodał pośrednik.

– Najpewniej macie rację – zgodziła się Maria. – Ale moja decyzja jest nieodwołalna. Postanowiłam opuścić kraj.

– I zamierzacie wyjechać tak całkiem sama? Piękna panna, bez męskiej opieki? Udajecie się w wielki świat! Nie boicie się?

„Ależ nie będę sama. Będzie przy mnie Karol” – pomyślała Maria, po czym dodała zdecydowanym tonem:

– Tak jak powiedziałam. Moja decyzja jest nieodwołalna.

– A gdyby ktoś zaoferował wam nową ojczyznę w Kassel? – patrzył na Marię z niekłamanym zachwytem.

– Dziękuję wam, to byłby dla mnie wielki zaszczyt. Ale podjęłam już decyzję. Wyjeżdżam.

– Szkoda! Wielka szkoda! Być może i dla was, ale na pewno dla mnie – westchnął mężczyzna. – Pomyślcie jeszcze o tym! Zawsze możecie liczyć na moją pomoc...

– Dziękuję wam.

– Co teraz, Mario? – wtrącił się ojciec. – Chciałbym jeszcze za dnia wrócić do Kleinem.

– Pożegnajmy się więc, ojczy – odpowiedziała Maria.

– Zegnajcie! Niech się wam dobrze wiedzie. Pozdrówcie Annę-Katarzynę. Oby obdarzyła was niedługo dziedzicem, na którego tak czekacie.

Ojciec nic nie powiedział. Zza pazuchy wyciągnął brązową kopertę.

– To jest spadek po twojej matce. Dołożyłem też trochę pieniędzy od siebie, żeby wystarczyło na twoją podróż. Nie chcę, żebyś narzekała na swojego ojca.

– Dziękuję, ojczy. – Umowę i kopertę od ojca Maria wsunęła za gorset.

Podeszła jeszcze do koni i pogłaskała je po głowie, mówiąc: – Zegnaj, Max! Zegnaj, Lotte!

Ojciec poszedł w kierunku wozu. Wsiadając, spojrzał jeszcze raz na Marię. Zawrócił. Podeszedł do niej i mocno objął ramieniem. Był wzruszony, lecz starał się dodać córce otuchy:

– Dasz sobie tam radę. Jesteś przecież moją córką. Jedź z Bogiem!

Wcześniej ojciec nigdy nie okazywał Marii czułości. Dziewczyna nie wiedziała, jak się ma zachować, szepnęła więc:

– Jedźcie i wy z Bogiem.

Ojciec wsiadł na wóz i chwycił lejce. Wzrok Marii padł na małe zawiniątko. „Moja lalka” – przypomniała sobie. Szybko sięgnęła między stopy ojca i wyciągnęła spod siedzenia owiniętą w gałganki zabawkę.

– Zapomniałam czegoś... – wyjąkała zakłopotana.

Ojciec strzelił z bicia i konie ruszyły.

– Zegnajcie ojczy! – zawołała Maria.

– Zegnaj córko! – odpowiedział mężczyzna i przesunął ręką po twarzy. „Czyżby ojciec ocierał łzy? To do niego zupełnie niepodobne!” – zastanawiała się Maria.

Kiedy wóz zniknął za rogiem, Maria wzięła zawiniątko z lalką i poszła do magazynu.

– Muszę jeszcze coś włożyć do mojej skrzyni. Czy moglibyście pomóc mi ją otworzyć? – zwróciła się do mężczyzny, który przyniósł

tutaj jej kufer.

Z woreczka, który miała na szyi, Maria wyciągnęła klucz i otworzyła masywny zamek. Przesunęła leżące na wierzchu kielbasy, szynkę i słoninę i wcisnęła obok nich lalkę. „Głodna na pewno nie będziesz! – żartobliwie powiedziała do lalki. – Bać się też nie musisz. Kiedy będziemy już w porcie z pewnością do ciebie zajrzę.”

Maria mogła już zacząć swoją podróż. Pożegnała się jeszcze z pośrednikiem, który patrzył na nią wymownie, serdecznie się uśmiechając, i długo nie chciał puścić jej dłoni.

– Panno Ruppert, zastanówcie się raz jeszcze, czy na pewno nie...

Maria pokręciła przecząco głową i powiedziała pewnym głosem:

– Nie mogę tu zostać! Mam powody, dla których muszę wyjechać z ojczyzny.

– Dlaczego nie dacie się przekonać? Oferuję wam beztrudne życie u mego boku. Jestem zamożny. Tutaj w Kassel żyje się bardzo dobrze.

– Szanuję was i nie chcę urazić moją odmową. Ale... Nie mogę tu zostać. Żegnajcie!

Pośrednik ostatni raz uściskał jej dłoń i odwrócił głowę, by nie dostrzegła rysującego się na jego twarzy zawodu. Maria wyszła i szybko zamknęła za sobą drzwi.

DROGA DO PORTU

CZAS, KTÓRY POZOSTAŁ jej do spotkania z Karolem, Maria spędzała, spacerując ulicami miasta. Szła przez rynek, oglądając co też się tutaj sprzedaje i kupuje. Takiego rynku jak ten jeszcze nigdy nie widziała. Po obfitym śniadaniu w gospodzie nie czuła głodu, postanowiła więc nic nie kupować u piekarza, którego sklepik właśnie mijala, choć jego wyroby wyglądały naprawdę smakowicie. „Podróż jest długa – pomyślała. – Muszę oszczędnie gospodarować pieniędzmi.”

Gdy dzwon na wieży wybił godzinę drugą, Maria poszła w kierunku starego mostu na Fuldzie. Rozejrzała się wkoło, ale Karola nigdzie nie było. Z zainteresowaniem przyglądała się płynącym po rzece łodziom. „Niedługo też będę płynąć statkiem. I to o wiele większym niż te łodzie tutaj.”

W dole, przy pomoście, młodzi mężczyźni pracowali przy wyładunku jednego z kutrów. Wynosili na brzeg ogromne kamienie i taszczyli je do stojących na przystani wozów. Obok nich stał starszy mężczyzna, wyglądający na nadzorcę. Podszedł do niego jeden z pracujących młodych mężczyzn i o coś zapytał. Rozmawiali przez chwilę, po czym nadzorca wsunął mu coś do ręki i pożegnał się z nim. Młody mężczyzna spojrzał w górę i pomachał do Marii. To był... Karol!

– Karol, mój Karol! Gdzie byłeś? Co robiłeś tam na dole? – krzyknęła podekscytowana Maria i czym prędzej pobiegła do ukochanego. Uszczęśliwiona jego widokiem z lubością wtuliła się w jego ramiona.

– Jak to „co robiłem”, Mario? Pracowałem. I to już od kilku dni.

– Pracowałeś tam?

– Zostawiłem mój bagaż u pośrednika i czekałem na ciebie. Miałem czekać bezczynnie?

Zdziwiona Maria zamilkła.

– Potrzebowali tu silnych ludzi do wyładunku kamieni, więc od razu się zgłosiłem. I trochę udało mi się zarobić. Spójrz! – Karol otworzył dłoń, w której błyszczała moneta.

– Karolu, jesteś taki mądry. Zawsze postępujesz jak należy.

– Teraz trochę przesadzasz.

– Tak myślisz?

– Chcesz tu jeszcze dziś zostać, czy od razu ruszamy w drogę?

– Zostać tutaj? – zapytała Maria. – A co tu po nas? Musimy przecież dotrzeć do portu.

– Wiedziałem, że tak odpowiesz. Ruszajmy więc w drogę. Chodź!

– Karol wziął Marię za rękę i poszli w kierunku schodów, które wiodły z mostu nad rzekę.

– Dlaczego idziemy tędy? – spytała ze zdziwieniem Maria. – To nie jest droga do portu.

– Droga do portu zaczyna się właśnie tutaj, Mario – powiedział Karol. Dziewczyna, choć niewiele z tego rozumiała posłusznie podążyła za swoim przewodnikiem. Dopiero po chwili dostrzegła małą łódź przycumowaną do pomostu. Nie widziała jej wcześniej, stojąc na moście. Karol prowadził ją w kierunku tej właśnie łodzi.

– Możemy zaczynać podróż. Przybył nasz gość – krzyknął Karol do siedzącego w łodzi mężczyzny.

Ten ziewnął, przeciągnął się i wstał z ławki. Uśmiechnął się przyjaźnie do przybyłej pary, gestem zapraszając ich na pokład.

– Wspaniale. Możecie siedzieć na workach z wełną – zaproponował, wskazując na dużą ilość szarych lnianych worków ułożonych w łodzi.

– Czy to znaczy, że popłyniemy do portu łodzią?

Karol uśmiechnął się do Marii i wyjaśnił:

– Do portu nie. Ale dopłyniemy Fuldą do Wezery.

– Pójdę tylko do gospody po holowników – dodał szyper. – Oni też z nami popłyną. Ktoś musi potem ciągnąć załadowaną łódź w górę rzeki.

Holownicy, mężczyźni o osmaganych wiatrem twarzach, wskoczyli do łodzi i podróż mogła się wreszcie zacząć. Łódź płynęła z prądem. Miasto oddalało się coraz bardziej, aż wreszcie zupełnie zniknęło im z oczu.

– Jak to zrobiłeś, że zgodzili się nas zabrać na tę łódź? – szepnęła do chłopaka zaciekawiona Maria.

– Pracowałem z szyprami, gdy już cię znają, wtedy łatwiej

poprosić ich o przysługę. Powiedziałem im, że opuszczamy kraj i musimy oszczędzać pieniądze.

– Dziś wieczorem dotrzemy na miejsce. Fuldą możecie płynąć z nami. A dalej po Wezerze kursują już większe łodzie. Po Fuldzie na przykład duże jednostki nie mogą płynąć – wyjaśnił szyper.

– Szkoda, że możemy płynąć z wami tylko do wieczora. Może jakaś inna łódź mogłaby nas zabrać w dalszą drogę?

– Nie radziłbym płynąć po Wezerze, gdyż jej prąd jest bardzo słaby i może minąć nawet kilka tygodni nim dotrzecie do celu.

– Nie mamy aż tyle czasu – przyznał nieco zmartwiony Karol. – Dalej będziemy musieli więc iść pieszo.

Wieczorem łódź dotarła do małego miasteczka u zbiegu Fuldy i Werry. Karol pomógł jeszcze przy wyładunku wełny, a potem młodzi podziękowali szyprowi za pomoc i pożegnali się z nim. Mimo późnej pory musieli jeszcze znaleźć w miasteczku gospodę, gdzie mogliby odpocząć. Karol spał tej nocy na podłodze, Maria, tak jak poprzednio, na worku ze słomą w sali na piętrze.

Następnego dnia wcześnie rano wyruszyli w drogę. Szli cały czas wzdłuż rzeki Wezery, która stała się od tej pory ich wierną towarzyszką. Aż do Bremy.

Każdy dzień wyglądał teraz podobnie. Maria i Karol wstawali wczesnym rankiem, jedli skromne śniadanie i ruszali w drogę. Szli miarowym, równym krokiem, ale bez pośpiechu. Po drodze mijali wiele miejsc, gdzie mogli znaleźć tani nocleg i zaopatrzyć się w prowiant na najbliższy czas. Podstawowe produkty, takie jak: chleb, mleko i słoninę mogli kupić bezpośrednio od chłopów, którzy często sprzedawali je tuż przy drodze.

Pewnego dnia spotkali starszą kobietę, która poprosiła Karola, by porąbał jej drewno na opał. Jej parobek cierpiał na podagrę i nie mógł ciężko pracować. Kobieta obiecała im, że dobrze zapłaci za pracę. Maria i Karol naradzili się i uznali, że na te kilka dni zwłoki mogą sobie pozwolić. Karol porąbał drwa na małe kawałki, tak, by staruszka mogła nimi palić w piecu. Maria nosiła drewno do szopy i starannie je układała. Po dwóch dniach robota była ukończona, a Maria i Karol sowicie wynagrodzeni za ciężką pracę i zaopatrzeni w prowiant. Mogli więc

udać się w dalszą drogę.

Pewnego wieczoru w pobliżu Hameln trafili do bardzo dziwnej gospody. Jedyne nierówny napis wykonany kredą na połamanej tablicy informował przybyszów o tym, że w tym miejscu można znaleźć nocleg. Domek sprawiał wrażenie bardzo zaniedbanego. Mimo to Karol energicznie zapukał do drzwi. Po chwili z głośnym skrzypieniem otworzyła się ich górna część. Dolna wciąż pozostawała zamknięta. W drzwiach pojawił się drobny mężczyzna w słusznym wieku z długą siwą brodą.

– Moglibyśmy dziś tutaj przenocować? – zapytał Karol.

Nie odpowiadając Karolowi, mężczyzna krzyknął w głąb domu:

– Justyno, widzisz, to już działa.

– Wygląda na to, że miałaś rację, Florianie – z wnętrza izby wyłoniła się stara kobieta i podeszła do drzwi.

– A nie chciałaś mi wierzyć i śmiałaś się ze mnie – odpowiedział z satysfakcją pan domu.

Stara kobieta zaśmiała się wyraźnie rozbawiona.

– Możemy tu dziś przenocować? – powtórzył pytanie Karol. – Robi się ciemno i zaraz zacznie padać deszcz. Znajdzie się miejsce, gdzie moglibyśmy odpocząć?

Stara kobieta zachichotała niezbyt przyjaźnie, lecz zaprosiła ich do środka:

– Wchodźcie, wchodźcie. Możecie u nas zostać na noc.

Maria najchętniej poszukałaby innej gospody, ale właśnie zaczął padać silny deszcz. Gdyby mimo wszystko zdecydowali się iść dalej, z pewnością przemokliby do suchej nitki. Przyjęli więc zaproszenie i weszli do środka, ale uczynili to z pewną obawą.

Gospodarze zaprowadzili ich do dużej izby na parterze. Na środku stał duży stół, a na nim leżało coś dziwnego.

– Florianie, czy mógłbyś wziąć stąd tego... jak go nazywasz... złotnika? – zapytała kobieta i wyciągnęła rękę w kierunku stołu. Mężczyzna doskoczył do niej gwałtownie i krzyknął przerażony:

– Nie ruszaj go! Jeszcze go twoje nieczyste ręce odczarują! Dużo mnie kosztowało, żeby znaleźć ten korzeń.

– Ależ Florianie, ten złotnik czy szubiennik nie może tu leżeć.

Włóż go do pudełka! Tutaj będą nocować nasi goście.

– Bez odzienia nie mogę włożyć go do pudełka. Obrazi się i zamiast złota przyniesie nam nieszczęście.

– O co chodzi z tym złotnikiem? – spytał zaciekawiony Karol. Także i Maria z zainteresowaniem przyglądała się temu, co leżało na stole i przypominało nieco ludzką postać.

– Zrobiłem go z korzenia mandragory [Mandragora, trująca bylina z rodziny psiankowatych (*Solanaceae*); występuje na obszarze śródziemnomorskim, w Himalajach i Turkmenistanie. Uprawiana jest dla korzeni i jadalnych jagód, których używa się do produkcji leków uśmierzających ból. Obecnie stosowana w medycynie ludowej i homeopatii. Jest to roślina silnie trująca; korzeń (kształtem przypominający człowieka), tzw. alrauna, w średniowieczu uważano za środek magiczny.] – wyjaśnił mężczyzna. – Temu, kto ma go u siebie w domu i dobrze go traktuje, zapewnia dobrobyt. Temu jednak, kto go obrazi, przynosi pecha.

– Naprawdę w to wierzycie? – Maria nie mogła nadziwić się temu, co usłyszała.

– Tak mówią stare księgi. W nich znalazłem opis, jak należy zrobić złotnika. Korzeń mandragory można wygrzebać z ziemi tylko przy pełni księżyca. Nie wolno dotknąć go ręką, bo wtedy straci swoją moc, a ten, kto go dotknie, umiera. Trzeba zrobić nad nim potrójny znak krzyża, a na powierzchnię musi wyciągnąć go pies. Jeden koniec sznurka należy przywiązać do odgrzebanego korzenia, a drugi zawiązać psu na ogonie i odgonić go. Wtedy pies wyciągnie korzeń z ziemi.

– Wybaczcie mi – stwierdzi! Karol – ale nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Co wy tam, młodzi, wiecie! – odpowiedział mężczyzna poważnym tonem. – Sami widzicie. Dopiero co go zrobiłem i już się pojawiliście. Przenocujecie dziś i jutro mi zapłacicie. Dzięki niemu będziemy więc mieli pieniądze.

– Nie gniewajcie się na mnie, ale i tak byśmy tu przyszli, niezależnie od tego, czy macie go w domu czy nie. Zrobiło się ciemno i zbierało się na deszcz. Nie mogliśmy iść dalej.

– Nie, nie! – zawołał przekonany o swojej racji mężczyzna. – To korzeń sprawił, że do nas przyszliście. Nasz złotnik przynosi pieniądze!

– To niemożliwe, by korzeń rośliny miał taką moc!

– Maria z powątpiewaniem pokręciła głową. Długo zajmowała się roślinami, plewiła je, podlewała, przycinała, ale o czymś takim nigdy nie

słyszała.

– Musimy koniecznie odziać naszego złotnika – mężczyzna znów zwrócił się do żony. – Inaczej się obrazi. Tego chyba nie chcesz.

– Nie, w żadnym razie. Już wystarczająco długo prześladowuje nas pech. Nie możemy pozwolić, żeby i złotnik był przeciwko nam.

– Znajdź więc jakieś kolorowe gałganki i uszyj mu ubranko!

– Ależ Florianie, jak mam mu uszyć ubranko? Nie dam rady utrzymać materiału w moich drżących palcach. Ja już się nie nadaję do takiej roboty.

Florian zwrócił się więc do Marii:

– Może wy moglibyście uszyć ubranko dla naszego złotnika? Mogę go schować do pudełka dopiero wtedy, gdy będzie odziany.

– To dla mnie żadna trudność – odpowiedziała Maria. – Ale to co robicie, to przecież czary-mary. Jesteście ludźmi, macie swój rozum. Jak możecie wierzyć, że kawałek korzenia ma taką moc, jaką posiada... tylko Bóg? Wolałabym nie mieć z tym nic wspólnego.

– Bardzo was proszę – odezwała się kobieta. – Proszę, nie zsyłajcie na nas nieszczęścia. Jesteśmy starzy i potrzebujemy pomocy złotnika.

– W naszych stronach starzy ludzie proszą o pomoc Boga. Nikt nie robi sobie takich stworów! – powiedziała oburzona Maria. – Chrześcijanie nie powinni wierzyć w takie czary.

– Nie obrażajcie naszego złotnika! Bo was też może ukarać.

– Nie obawiam się go!

– Ależ on ma moc. Trzeba uważać, co się przy nim mówi.

– Proszę, bardzo proszę! – staruszka błagała coraz usilniej. – Uszyjcie ubranko dla naszego złotnika. Nie pożałujecie tego.

Wiara tych dwojga w moc korzenia była bardzo silna i Maria wiedziała, że nic nie zdoła tego zmienić.

– Dobrze – zgodziła się – uszyję ubranko, gdyż mnie o to prosicie. Ale jestem przekonana, że wszystko, co mówicie o tym złotniku, jest kłamstwem. Nie ma korzeni, które miałyby tajemniczą moc.

– To bardzo dobrze, że uszyjecie to ubranko – odezwał się staruszek. – Justyno, przynieś szybko gałganki, igłę, nici i nożyce! I przygotuj naszym gościom solidny posiłek!

Maria zabrała się do pracy. Kiedy ona szła, Karol rozmawiał ze

staruszkciem.

– Przedtem nazwaliście waszego złotnika inaczej?

– Tak – odpowiedział mężczyzna. – Mówi się o nim też szubiennik.

– Złotnik-szubiennik? Dlaczego tak dziwnie się go nazywa?

– To proste. Korzeń najczęściej rośnie pod szubienicą. Dlatego mówi się też na niego szubiennik.

– Dlaczego rośnie akurat w takim miejscu?

– Przy kobietach nie mogę wam tego powiedzieć – szepnął staruszek i wyprowadził Karola z izby. Gdy byli już na zewnątrz wyjaśnił ściszym głosem: – W mojej starej księdze jest to dokładnie opisane. Mandragora wyrasta w miejscu, na które spadnie nasienie mężczyzny powieszzonego na szubienicy.

Karolowi aż zaparło dech w piersiach z wrażenia!

– Kto coś takiego wymyślił? To niedorzeczność!

– Nie mówcie tak młodzieńcze. Szubiennik mógłby się na was pogniewać.

Godzinę później Maria nałożyła na korzeń uszyte przez nią kolorowe ubranko. Florian troskliwie umieścił odzianego złotnika w pudełku i wyniósł z izby. W tym czasie Justyna przyrządziła dla gości wieczerzę. Maria i Karol dopiero teraz poczuli, jak bardzo są głodni i z ochotą zabrali się do jedzenia.

Następnego ranka wyruszyli zaraz po śniadaniu. Nie spotkali się już z gospodarzem, ale jego żona przyjęła pieniądze za nocleg i posiłek i wyprawiła ich w drogę. Na temat dziwnego złotnika nie padło ani jedno słowo.

– Bardzo dziwni ludzie – podsumowała już w drodze Maria. – Mocno wierzą w szczególną moc mandragory.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby się do niej modlili.

– Nie mów tak, Karolu. To bezbożność. Pan Kerl, nasz nauczyciel, zawsze nam powtarzał, że jedynie do Boga wolno się modlić. I mówił też, że Pan Bóg pomaga w nieszczęściu.

– Ale tych dwoje staruszków chyba o tym nie wie. Naprawdę liczą na to, że pieniądze przyniesie im mandragora.

KILKA DNI PÓŹNIEJ Maria i Karol dotarli do całkiem sporej wioski. Już z daleka poczuli unoszący się nad doliną zapach palonego węgla drzewnego. Z pewnością pochodził on z piekarni. Na ulicy minęła ich kobieta w średnim wieku, pchająca szeroki wózek, na którym ułożone były świeże bochenki chleba. Chleb ten jednak był dziwnie płaski. „Ciasto wcale dziś nie wyrosło! – wymamrotała sama do siebie kobieta. – Nie rozumiem. Tak dzieje się przecież tylko wtedy, gdy kwitnie żyto”.

– Hej! – krzyknęła nagle do mijającej ją pary. – Wyglądacie na takich, którzy wyruszają w świat. Weźcie sobie ode mnie chleb na drogę. Wprawdzie nie wyrósł przy pieczeniu jak trzeba, ale będziecie mogli się najęść.

Maria podziękowała kobiecie. Wzięła od niej chleb, wciąż jeszcze tak gorący, że z trudem udało się jej utrzymać go w dłoniach.

– Życzę wam, żebyście tam, dokąd zmierzacie, mieli pod dostatkiem chleba i pieniędzy – pożegnała ich ciepłymi słowami kobieta.

– Bardzo dziękujemy! – odpowiedział Karol nieco skrzępowany jej serdecznością. – Niech Bóg wam to wynagrodzi.

Kiedy chleb wystygł, Maria oderwała kawałek i skosztowała. Rzeczywiście, w środku był trochę niedopieczony. Mimo to był smaczny, a co ważniejsze sycił głód.

Jeden z wieczorów Maria i Karol spędzili na plebanii. Trafili tam dzięki temu, że podczas wędrówki spotkali mężczyznę, zdążającego w tym samym kierunku co oni. Dosyć długo szli razem, zaczęli więc rozmawiać. Towarzyszący im wędrowiec szybko zorientował się, że młodzi zamierzają opuścić kraj. Sam był pastorem i wracał od chorego parafianina. Dostał od niego w podziękowaniu worek owsa dla kur. Podarunek niezmiernie go ucieszył, jednak w miarę upływu czasu zaczął mu ciążyć coraz bardziej.

Karol zlitował się nad leciwym pastorem i postanowił mu pomóc. Zaniósł worek na plebanie, nie zważając na to, że po pewnym czasie jemu również ciężar zaczął dokuczać. Wdzięczny pastor zaprosił ich do siebie na kolację i zaproponował nocleg.

– Eugenio – zawołał do swojej żony, gdy przekroczyli próg plebanii. – Przyprowadziłem bardzo miłych gości. Zostaną u nas na

kolację, potrzebują też miejsca do spania.

– Wchodźcie, proszę! Witamy was serdecznie!

Z głębi domu wyszła skromnie ubrana kobieta o dobrotliwym spojrzeniu i z uśmiechem przywitała przybyłych:

– Widzę, że macie zamiar opuścić nasz kraj i udać się w daleką drogę. Wiele takich osób pojawia się w naszej wiosce.

– Ten młodzieniec był tak miły, że pomógł mi przynieść do domu worek owsa.

– W takim razie czas teraz na dobrą kolację – zdecydowała kobieta i poszła do kuchni. Dziewczyna podążyła za nią.

– Mogłabym może wam w czymś pomóc? – zapytała Maria.

– Przygotowanie kolacji nie wymaga dużo pracy, ale jeśli chcecie mi towarzyszyć, będziemy miały okazję trochę pogawędzić.

Podczas rozmowy Maria dowiedziała się, że obaj ich synowie studiują, a córka wyszła za męża i mieszka w jednej z pobliskich wiosek. Druga córka zmarła nagle niedługo po confirmacji.

– To było jak do tej pory najtrudniejsze, co Bóg nam zesłał – zwierzyła jej się żona pastora. – Do dziś nie potrafię pogodzić się z tym, że musiałam pożegnać się z moim dzieckiem.

Maria, poruszona cierpieniem tej obcej kobiety, ze współczuciem uścisnęła jej dłoń.

Gdy kolacja była gotowa, zjawili się mężczyźni. Gdy już zasiadali do stołu, Karol zapytał pastora:

– Wędrując po okolicy, często widywaliśmy w gospodarstwach kozły. Niosąc worek z owsem do waszej stodoły, zauważyłem w chlewiku kozła. W naszej wiosce mieliśmy tylko jednego kozła. Tutaj kozły są chyba w każdej stajni i oborze. Dlaczego macie ich tak dużo?

– Zmówmy najpierw modlitwę, a potem odpowiem na wasze pytanie.

Po modlitwie żona pastora zaprosiła gości do jedzenia. Na stole leżał chleb, biały ser, masło i słonina. Pastor zgodnie z obietnicą starał się odpowiedzieć Karolowi na jego pytanie.

– To, że u nas w stajniach i oborach trzymamy kozły, jest związane z pogańskimi wierzeniami naszych przodków. Kiedyś modlono się do Donara, boga burzy. Wyobrażano go sobie jako silnego mężczyznę,

który rzuca gromy na ziemię. Donar jeździł wozem zaprzężonym w dwa kozły. Były one dla niego symbolem świętości. Stawiano je więc pośrodku zwierząt w nadziei, że Donar poprzez swoje święte zwierzęta zapewni dobry chów. Na szczęście dziś nikt już o tym nie pamięta, ale ten zwyczaj nadal jest podtrzymywany wśród naszych chłopów.

Ledwie pastor skończył mówić, rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Gospodarz przeprosił siedzących przy stole i poszedł otworzyć.

– Drogi pastorze... – z przedsionka dobiegł męski głos. – Drogi pastorze, nie jestem winny śmierci Kacpra. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje.

Pastor zaprowadził mężczyznę do gabinetu, by mogli spokojnie porozmawiać. Po dłuższej chwili pastor wrócił do stołu i oświadczył radośnie:

– A to niespodziewana zmiana nastąpiła. Można tylko Bogu dziękować z całego serca!

Maria i Karol przytaknęli nieśmiało, nie wiedzieli jednak, co konkretnie gospodarz ma na myśli. Jego żona również spoglądała na męża pytająco.

– Powiem wam, co przydarzyło się temu mężczyźnie, który był u mnie przed chwilą. Pozwolił mi wam o tym opowiedzieć. Wszystko zaczęło się, kiedy Edward był jeszcze młodym kowalem. Od czasów szkolnych przyjaźnił się z Kacprem, który zajmował się rybołówstwem. Stanowili ciekawą parę przyjaciół. Poważny, wysoki kowal Edward i wesoły, nieco niższy od niego, rybak Kacper. Byli nierozłączni. Aż zakochali się – jak to się czasem zdarza – w tej samej dziewczynie. Miała na imię Greta i była córką starego kowala. Greta wybrała Kacpra, co nikogo nie zdziwiło, bo miał zdecydowanie większe poczucie humoru. Edward bynajmniej nie miał mu tego za złe i nadal się przyjaźnili. Zgodził się nawet zostać ojcem chrzestnym ich pierwszego dziecka, któremu na jego cześć nadano na chrzcie imię Edward. Oprócz pierwotnego syna Greta i Kacper mieli jeszcze pięcioro dzieci. Kacper był nie tylko wesołym człowiekiem, ale i bardzo sprytnym. Na wielu rzeczach się znał. Pewnego razu jego uwagę zwróciły stare narzędzia kowalskie w kuźni teścia. Zaczął próbować kowalstwa. Edward radził mu, by każdy został przy tym, czym się zajmuje i nie wchodził innym w

paradę. Ale Kacper tylko się z tego śmiał. Twierdził, że głupi jest ten, kto wie, jak zaoszczędzić, a tego nie robi. Kiedy pewnego ranka Edward przyszedł do Kacpra, ten właśnie pracował w kuźni. Naprawiał pęknięte ogniwo łańcucha kotwicy ze swojego statku. To, co zobaczył, strasznie rozgniewało Edwarda. Uważał, że Kacper posunął się za daleko. Nie chodziło mu o zarobek, ale o to, że tu, w dolinie Wezery, każdy trzymał się swojego rzemiosła. Był tak wzburzony, że gdy Kacper wyszedł na chwilę, Edward wrzucił do ognia małą miedzianą monetę.

– Pozwólcie, że się wtrączę. Dlaczego to zrobił? – spytał Karol, który z uwagą przysłuchiwał się opowieści, którą snuł pastor.

– Sam spytałem o to Edwarda, gdy mi to opowiadał. Wyjaśnił mi wówczas, że dodatek miedzi sprawia, że żelazo nie kuje się dobrze. Każdy kowal to wie.

– Kawałek miedzi w ogniu sprawia, że żelazo nie jest trwałe?

– Tak mi powiedział Edward.

– Nie wiedziałem o tym.

– Kacper również tego nie wiedział. Edward chciał wtedy jedynie zadrwić sobie z Kacpra, dać mu nauczkę. Chodziło tylko o to, żeby Kacper nie mógł naprawić tego ogniwa. Tego samego dnia po południu Kacper wypłynął na połów, na Wezerę. Nagle rozpętała się straszliwa burza. Dla Kacpra nie było to nic nowego. W takich przypadkach zawsze wyrzucał kotwicę, która przytrzymywała łódź. Tym razem jednak łańcuch kotwicy pękł, a łódź wywróciła się. Kacper utonął. Dwa dni później przyniesiono jego ciało do domu, do Grety i dzieci.

– To straszne! – szepnęła przejęta Maria.

– Tak, to było straszne. Dla wszystkich w okolicy. Ale najbardziej dla młodego kowala. Przecież to on wrzucił do ognia miedź, przez którą nie powiodło się kucie ogniwa. Chciał dać Kacprowi nauczkę, a teraz był winien jego śmierci. Dręczyło go sumienie. Wciąż sobie powtarzał: „Jestem mordercą”.

– Ale przed chwilą powiedział, że jednak nie jest mordercą.

– To prawda, zaraz wam o tym opowiem. Posłuchajcie! Sumienie wyrzucało Edwardowi, że jest mordercą i powinien wziąć odpowiedzialność za swoje lekkomyślne postępowanie. Greta została sama z sześciorgiem dzieci. Edward wziął więc do siebie na ucznia jej

najstarszego syna, tego, którego trzymał do chrztu. Grecie było nieco lżej. Ale jego sumienie wciąż nie dawało mu spokoju i nieustannie przypominało: „Przez twoje bezmyślne postępowanie zabrałeś dzieciom ojca, musisz im go więc zastąpić”. Co tu dużo mówić. Edward odczekał rok żałoby i aby zadośćuczynić bliskim swojego przyjaciela, postanowił poślubić Gretę i wziąć ją i dzieci do siebie. Chyba jeszcze nikt nie brał ślubu z takim żalem. Greta była wprawdzie jego młodzieńczą miłością, ale w tych okolicznościach... Czas jednak leczy wszystkie rany. Żyli z Gretą w zgodzie i z każdym dniem byli coraz bardziej szczęśliwi, szczególnie że na świecie pojawiło się ich dziecko. Edward był zrozpaczony. Powiedział mi wówczas: „Chciałem odkupić moją winę, a Bóg zamienia moją pokutę w prawdziwe szczęście. Nie rozumiem tego. Gdzie w tym jest Boża sprawiedliwość?”. Próbowałem przekonać go, że Bóg jest sprawiedliwy, ale przede wszystkim jest łaskawy. Ale Edward uczeplił się myśli, że za swój czyn musi ponieść karę. Teraz jednak wszystko się zmieniło. W zeszłym tygodniu drugi syn Kacpra skończył naukę. Postanowił, że tak jak jego ojciec, zostanie rybakiem. Obejrzał dokładnie wszystkie narzędzia swojego ojca i statek, który wtedy wyrócił się w czasie burzy. Łańcuch kotwicy był przerwany. Przyniósł go więc do Edwarda i poprosił, żeby ten naprawił rozerwaną część. „Widzicie, tu jest to ogniwo, które przed wypadkiem naprawiał ojciec – powiedział. – Nie jest okrągłe, ale wytrzymało. Łańcuch przerwał się trochę niżej.” To była dla kowala wspaniała wiadomość! Aż do tej chwili był pewny, że łańcuch przerwał się wówczas przez ten kawałek miedzi. Nikt tego wówczas nie sprawdził. Dla nikogo, oprócz Edwarda, nie miało to znaczenia. Teraz okazało się, że to nie było tak, jak myślał. Tamto ogniwo wytrzymało. Poczucie winy bardzo go dręczyło przez te wszystkie lata, dlatego od razu chciał mi przynieść tę dobrą wiadomość. Myślę, że w okolicy nie znajdziemy dziś nikogo, kto byłby szczęśliwszy od Edwarda.

PO KOLACJI MARIA pomogła żonie pastora uprzątnąć stół. Karol natomiast udał się wraz z pastorem do ogrodu. Pastor wzbudził jego zaufanie i teraz, kiedy byli sami, Karol postanowił wyjawić mu ich sekret.

– Drogi pastorze – zaczął – opowiedzieliście nam niezwykłą historię o kowalu. Nasza historia jest bardzo podobna. My też zrobiliśmy coś złego, choć wcale tego nie chcieliśmy. I nie wiemy, co mamy teraz robić...

– Mówcie, młody przyjacielu. Obiecuję, że nikomu nie wyjawię tego, co mi teraz powiecie.

– Dziękuję, pastorze. Maria, moja towarzyszka...

– A nie żona...

– Właśnie. Maria i ja pochodzimy z tej samej wioski. Bardzo się kochamy i chcieliśmy żyć razem, ale sprzeciwiał się temu jej ojciec. Nie chciał zgodzić się na nasz ślub. My jednak bardzo chcieliśmy być razem i postanowiliśmy zmusić ojca Marii, by się zgodził. Mieliśmy nadzieję, że kiedy okaże się, że Maria spodziewa się dziecka, jej ojciec się zgodzi. Ale na wieść o dziecku ojciec Marii wpadł w szal i w złości wykrzyczał, że jestem jego nieślubnym synem. Nie wiedziałem, kto jest moim ojcem, matka nigdy mi o nim nie mówiła. Teraz okazało się, że ja i Maria jesteśmy rodzeństwem.

– Ależ to straszne, co mówicie!

– Tak, to jest straszne. Musieliśmy opuścić naszą wioskę. Chcemy zamieszkać w Ameryce, tam, gdzie nikt nas nie zna. Maria uważa, że jeśli nikt nie będzie znał naszej przeszłości, będziemy mogli żyć razem, jak mąż i żona. Ona nie widzi we mnie brata, ale mężczyznę i ojca swojego dziecka. Nie przeszkadza jej to, że jestem jej bratem. Mówi, że dzieci Adama i Ewy też były rodzeństwem, a jednak pobrały się. Ale ja nie wiem, czy potrafię tak z nią żyć. Wciąż myślę o tym, że ona jest moją siostrą i choć bardzo ją kocham i ona nosi pod sercem moje dziecko, to jednak już nigdy nie będziemy mogli być blisko.

– Słyszałem kiedyś o podobnym przypadku u nas w okolicy. Dawno temu dwoje młodych ludzi oczekiwało narodzin dziecka, nie wiedząc, że są spokrewnieni. Ludzie ich jednak tak dręczyli, że oni w końcu tego nie wytrzymali i odebrali życie sobie i dziecku. Ale to, mój młody przyjacielu, nie jest droga chrześcijanina.

– Macie rację. Powiedzcie mi, co ja mam teraz zrobić? Jestem młody i zdrowy. Kocham Marię i chcę z nią być. Chciałbym wziąć z nią ślub, byśmy mogli żyć jak mąż i żona. Ale nie mogę jej nawet dotknąć,

bo jest moją siostrą. A potem... potem znów myślę, że przecież spodziewa się mojego dziecka.

– Nie mogę wam nic doradzić. Zupełnie nie wiem, co powinniście zrobić.

– Co teraz z nami będzie?

Pastor nie odpowiedział, tylko poszedł w kierunku altanki, znajdującej się w odległym zakątku ogrodu.

– Chodźcie. Usiądźcie tu ze mną – powiedział do Karola.

Usiedli obok siebie, a Karolowi to porośnięte liśćmi miejsce natychmiast skojarzyło się z ich kryjówką: „To miejsce przypomina mi nasz żywoplot w Kleinem, tylko jest tu bardziej przestronnie” – pomyślał Karol.

– Pozwólcie, że przez chwilę się zastanowię – głos pastora brzmiał przyjaźnie. – Stary Testament zabrania związków osób spokrewnionych ze sobą, chociaż... w Pierwszej Księdze Mojżeszowej opisanych jest kilka takich przypadków. Ale to bardzo stare dzieje.

Pastor pogrążył się w zadumie. Po chwili powiedział:

– Skoro nie wiedzieliście, że ta młoda dziewczyna jest waszą siostrą, nie ponosicie żadnej winy za to, co się stało. Teraz jednak już o tym wiecie. Nie możecie zatem żyć ze sobą jak mąż i żona. To byłoby wbrew przykazaniu boskiemu. Takie jest moje zdanie.

Karol opuścił głowę i milczał.

– To byłoby też wbrew prawu ludzkiemu – dodał pastor.

Karol jeszcze przez chwilę siedział zadumany, w końcu rzekł:

– Wiecie, czego ode mnie żądacie? – spytał. – Nie mogę opuścić Marii i dziecka. Chcę z nią być, ale bez...

Karol popatrzył pastorowi prosto w oczy:

– Żyć z nią i nie móc się do niej zbliżyć... Nie wiem, czy temu podołam.

– Możliwe, że patrzę na to zbyt rygorystycznie – odpowiedział pastor. – Ale tak rozumiem to, co jest zapisane w Biblii, i nie mogę wam niczego innego doradzić.

Karol znów zamilkł na chwilę, po czym zwrócił się do duchownego:

– Dziękuję wam za wasze szczerze słowa.

NASTĘPNEGO RANKA MARIA i Karol opuścili gościnny dom pastora i jego małżonki. Udali się w dalszą drogę. Nie spieszyli się jednak, gdyż do Bremy było już blisko, a nocleg w mieście kosztowałby ich więcej niż w wioskach, które mijali po drodze.

Do celu dotarli na dwa dni przed wypłynięciem „Syreny”.

– Do portu pójdziemy dopiero pojutrze, najpierw skorzystamy z okazji i obejrzymy to ogromne miasto – zaproponował Karol. W Kassel i innych większych miastach, które odwiedzili dotąd, nie widzieli nic poza kilkoma ulicami. Mijali je pospiesznie, w obawie, by nie spóźnić się na statek czekający w Bremie. Teraz mieli cały dzień, by spokojnie zwiedzić miasto.

WIDOK STAREGO MIASTA zaparł im dech w piersiach. Pełnym podziwu wzrokiem wpatrywali się w wysoki na osiemnaście stóp pomnik Rolanda stojący przed ratuszem. Z zachwytem oglądali wykutą w kamieniu postać cesarza oraz siedmiu książąt elektorów. W ratuszu z uwagą przyglądali się portretom cesarzy niemieckich od Karola Wielkiego po Zygmunta Luksemburskiego. Wreszcie w słynnej na cały świat winiarni skosztowali taniego, ale wybornego wina. Zwiedzili też kościół Najświętszej Marii Panny oraz znajdującą się w jego podziemiach kryptę, gdzie spoczywały doczesne szczątki tutejszych dostojników kościelnych. Duże wrażenie zrobiły na nich ogromne fabryki tytoniu oraz pracujący w nich rzemieślnicy.

Po południu spacerowali wokół Starego Miasta, podziwiając piękną okolicę i przyglądając się z mostu statkom płynącym po Wezerze.

Następnego dnia wczesnym rankiem udali się do portu. Było tam wiele statków, ale „Syreny” nigdzie nie udało im się dostrzec. Czyżby pomylili daty? Upewnili się jednak, że rzeczywiście jest dziewiętnasty maja. I właśnie tego dnia, późnym popołudniem mieli wypłynąć z portu. Byli więc na czas, a mimo to coś było nie w porządku. Czuli to wyraźnie.

W końcu Karol zaczepił jednego z mężczyzn pracujących w porcie:

– Szukamy statku, który ma wypłynąć dziś do Ameryki, nazywa się „Syrena”. Wiecie może, gdzie jest zacumowany?

Mężczyzna popatrzył na młodą parę zaskoczony. Zaczął im coś tłumaczyć, ale Maria i Karol nie rozumieli go, gdyż mężczyzna mówił w nieznanym im gwarze. Wreszcie z trudem pojęli sens jego słów:

– Żaden statek nie płynie stąd do Ameryki. Wszystkie odpływają z portu w Bremerhaven.

– To nie tutaj?

– Nie. Port oddalony jest o jakieś dwadzieścia godzin drogi w dół Wezery, lekko licząc. Tam musicie szukać waszego statku.

Mężczyzna zarzucił sobie na ramiona skrzynię, którą dźwigał, i odszedł.

– Dziękujemy wam za pomoc – zawołał za nim Karol.

Maria popatrzyła na Karola z przerażeniem.

– To oznacza, że nie zdążymy na nasz statek. Odpływa dziś po południu. Nie zdążymy, nawet jeśli pojechalibyśmy dyliżansem.

Karol spytał innego z pracujących w porcie mężczyzn o statek, którym mogliby dostać się do Bremerhaven.

– Statek taki odpłynął wczoraj wieczorem – odpowiedział mężczyzna. – Spóźniliście się.

– Musimy być w porcie dziś po południu. Zdążymy dotrzeć na czas dyliżansem? – Karol za wszelką cenę starał się nie tracić nadziei.

– To dwadzieścia godzin stąd. Dyliżansem będzie siedem. Dzisiaj już tam nie dotrzecie.

– Ale wtedy nasz statek wypłynie bez nas.

– Statek nie może czekać, aż zjawią się wszyscy spóźnieni podróżni.

– Karolu, jeśli statek wypłynie bez nas, co wtedy zrobimy? – spytała przestraszona Maria.

– Wypłyniecie następnym – uspokajał ich mężczyzna.

– Macie umowę, a ona jest ważna i na kolejny rejs. Statki do Ameryki odpływają co dwa tygodnie. Porozmawiajcie z pośrednikiem w porcie, na pewno coś wymyśli.

Maria i Karol podziękowali za radę i udali się do pośrednika. Jego biuro było jednak jeszcze zamknięte. Rozpoczął urzędowanie dopiero o dziewiątej. Nie pozostało im więc nic innego jak czekać. Nerwowo chodzili przed budynkiem w tę i z powrotem. Minuty ciągnęły się w

nieskończoność. Wreszcie dzwon na ratuszowej wieży wybił godzinę dziewiątą. Chwilę później zjawił się pośrednik.

Maria i Karol podekscytowani podbiegli do niego. Zanim jednak zdążyli cokolwiek powiedzieć, mężczyzna sam rozpoczął rozmowę:

– Wiem, po co do mnie przyszliście. Szukaliście waszego statku, jakże on się nazywa...

– „Syrena” – wykrzyknęli jednocześnie.

– No tak, szukaliście „Syreny” w Bremie... Nie wy pierwsi popełniliście ten błąd. Oj, wy szczury lądowe, gubicie się zupełnie tu, nad morzem.

– Czy jest szansa byśmy...? – zaczął Karol.

– Jeśli pytacie, czy uda wam się zdążyć na „Syrenę” przed jej wypłynięciem z portu, to nie jest to możliwe. Statek wypływa za jakieś trzy godziny. Nie dotarlibyście tam na czas, nawet gdybyście potrafili fruwać jak ptaki.

– Ale...

– Proszę się nie martwić, droga pani! Za dwa tygodnie wypływa kolejny statek, na niego na pewno zdążycie.

– Co w takim razie będzie z naszym bagażem?

– Bagaż dotarł na czas i znajduje się na pokładzie „Syreny”. Popłynie na niej do Baltimore, tak jak to było w planie.

– Czy ktoś go dla nas przechowa?

– Oczywiście. Wasz bagaż trafi do magazynu naszego armatora i będziecie go mogli odebrać, jak tylko tam dotrzecie.

Maria przypomniała sobie o szynce i kiełbasie, które zapakowała do skrzyni. To miał być przecież ich prowiant na drogę. Teraz będą mieli do jedzenia tylko suchary rozdawane podróżnym na statku.

– Kiełbasę będziemy mogli zjeść tam, już na miejscu – głośno myślała Maria.

– O czym mówisz? – dopytywał Karol.

– Nasze kiełbasy płyną już do Ameryki. Musimy postarać się o jakiś prowiant, inaczej będziemy jedli na statku tylko suchary.

– Zanim udamy się do Bremerhaven poszukam w porcie pracy. Za pieniądze, które zarobię przez ten czas kupimy nowy prowiant na podróż.

– Dobrze słyszałem? – upewnił się pośrednik. – Będziecie szukać pracy?

– Tak, nie chcę tak siedzieć beczynnie – odpowiedział Karol.

– Mogę wam pomóc znaleźć pracę w porcie. Na dużych statkach zawsze potrzebują kogoś do rozładunku. Przez tydzień moglibyście całkiem sporo zarobić.

– A czym ja będę się zajmować? – zapytała Maria.

– Dla was także mam propozycję – stwierdził pośrednik. – Potrzebuję kogoś, kto posprzątałby moje biuro. Już najwyższy czas!

Staruszek zaprosił swoich gości do środka. Przez cały ten czas bowiem rozmawiali, stojąc na zewnątrz. W pomieszczeniu panował zaduch i unosił się intensywny zapach stęchlizny.

– Zostańcie tutaj, proszę – mężczyzna zwrócił się do Marii. – Zaprowadzę tylko waszego męża na statek, na którym potrzebują pracowników. Gdyby ktoś w tym czasie pytał o mnie, powiedzcie, że niedługo wrócę.

Dziewczyna potakująco kiwnęła głową. Kiedy mężczyźni wyszli, dziewczyna zaczęła się rozglądać za wiadrem i jakimiś ścierkami. Po chwili znalazła wszystko, czego szukała, i poszła po wodę. Pompa znajdowała się w podwórzu za domem. Z trudem przydźwigała wypełnione po brzegi wiadro i zabrała się do pracy. Wyszorowała pokryte gęstą warstwą kurzu parapety i wymiotła pajęczyny, których pełno było w każdym kącie.

„Gdyby ktoś mi wczoraj powiedział – zamyśliła się – że zamiast płynąć statkiem będę dziś sprzątać zapuszczone biuro...”

Pośrednik wrócił, gdy Maria właśnie odkurzała książki. Było ich mnóstwo w całym pokoju. Potem wytrzepała wyblakłe dywany i umyła podłogę. Musiała to zrobić kilka razy, by podłoga stała się naprawdę czysta. W biurze pachniało teraz świeżością, również dlatego, że Maria otworzyła na oścież wszystkie okna i dokładnie wywietrzyła pomieszczenie. Na koniec umyła okna i wyprała zasłony.

Mężczyzna patrzył na efekty jej pracy z podziwem. Gdy skończyła, uśmiechnął się do niej i powiedział:

– Nie jest tak źle mieć w domu kobietę. Przynajmniej przez chwilę.

– Nie macie żony? – spytała zaskoczona.

– Żony? Boże uchwaj! – wykrzyknął staruszek. – Żona za dużo kosztuje. Coraz to żąda czegoś nowego. Chce pięknie wyglądać, mieć nowe suknie i biżuterię. Potrzebuje też rozrywek. Nie, nie, żona wydaje pieniądze szybciej, niż można je zarobić. Dlatego nigdy się nie ożeniłem.

Maria uniosła brwi ze zdumienia. „Mieszkanki Kleinem nauczone są innego życia – pomyślała. – Tutaj, w Bremie, kobiety są z pewnością dostojne i nie potrafią pracować tak jak my.”

– Jeśli chcecie – zwrócił się do Marii mężczyzna – jutro rano zaprowadzę was do mojego mieszkania. Tam też przydałoby się posprzątać, chyba nawet jeszcze bardziej niż w biurze. Zgodzicie się?

– Nie boję się pracy – oświadczyła pewnie Maria.

– Kurzu i brudu też nie.

– Mam tylko dwa pokoje – uspokoił ją staruszek. – Ale tam też trzeba wszystko od czasu do czasu ogarnąć.

Maria przystała na propozycję pośrednika.

Wieczorem wrócił Karol. Przez cały dzień wyładowywał ze statku worki pełne herbaty. Nic nie jadł przez ten czas, był więc bardzo głodny i zmęczony. Razem z Marią poszedł do portowej gospody na skromną kolację – ziemniaki z kapustą i słoniną. Potem poszukali taniego miejsca na nocleg.

Następnego dnia po śniadaniu, na które zjedli ciemny chleb i napili się odrobiny mleka, Karol znów poszedł do portu, by pracować przy wyładunku worków z herbatą. Maria natomiast udała się do pośrednika, którego mieszkanie znajdowało się w pobliżu jego biura. Mężczyzna poprzedniego dnia wspominał o dwóch pokojach. W rzeczywistości były trzy. Drzwi do ostatniego pokoju były jednak zamknięte na klucz.

„Tutaj z pewnością trzyma pieniądze i inne cenne rzeczy – pomyślała Maria. – Pewnie nie chce, żebym tam wchodziła.” Mieszkanie było tak zapuszczone, że odnosiło się wrażenie, jakby nikt w nim nie sprzątał od wielu lat. Szafa, krzesła i stół były tak zaniedbane i brudne, że by je domyć, musiała dodać do wody nieco mydła.

Następnego dnia zabrała się za sprząatanie pokoju, który służył za sypialnię. Worek ze słomą, na którym spał pośrednik, był w takim stanie, że od razu było widać, że nie był zmieniany od kilku lat. Maria usilnie namawiała mężczyznę, by koniecznie postarał się o świeżą słomę, którą

mogłaby napęłnić materac. Mężczyzna z początku wahał się, ale w końcu dał się przekonać.

– Chcecie się rozchorować? – zapytała dziewczyna. – W starej słomie gnieźdzą się pluskwy i pchły. Postarajcie się jak najszybciej o nową słomę!

Sprawa została załatwiona szybko i sprawnie. Po południu przed dom pośrednika podjechał wóz wyładowany świeżą słomą. Maria opróżniła lniany worek służący za materac i napęłniła go na nowo. Starą, połamaną słomę wyniosła na ulicę i kazała woźnicy, by ją zabrał. Mężczyzna nie krył swego niezadowolenia, że sam musi załadować słomę na wóz. Szybko jednak wykonał polecenie Marii, chcąc jak najszybciej pożegnać tę rezolutną i upartą kobietę.

Napęłnianie nowego materaca wcale nie było prostym zajęciem. Zapadł zmrok, zanim Maria skończyła pracę.

W sobotę wieczorem Karol otrzymał zarobione pieniądze. Maria, która pracowała nie tylko u pośrednika, ale pomagała również w sąsiedztwie przy praniu, także co nieco uskładała. Funduszy mieli teraz w sam raz, by kupić prowiant na podróż statkiem. Maria była dumna z tego, że nie wydała nic z tych pieniędzy, które nosiła w woreczku na szyi. Miała nadzieję, że zdołają kupić za nie ziemię w Ameryce.

W niedzielę były Zielone Świątki. Młodzi poszli do katedry na nabożeństwo, a potem ruszyli w drogę do Bremerhaven...

NA STATKU

ŻAGLOWIEC, KTÓRY MIAŁ zabrać ich do Ameryki nazywał się „Ferdynand”. Maria i Karol powtarzali tę nazwę dziesiątki razy. Do Bremerhaven dotarli bez przeszkód. Mieli nawet jeszcze trochę czasu i mogli dokładniej obejrzyć swój statek.

– Nie robi najlepszego wrażenia – stwierdziła Maria.

– Wygląda na dość stary, a na pewno przydałoby się go pomalować.

Nie udało im się jednak zobaczyć wszystkiego, statek stał na redzie, daleko od brzegu. Żagle były jeszcze zwinięte, ale nawet z daleka widać było, że są nieco poszarzałe. Maria przypominała sobie jak pięknie wyglądały jasne żagle statków stojących w porcie w Bremie. Mimo wszystko „Ferdynand” wzbudzał w nich podziw, tym statkiem mieli przecież płynąć do Ameryki.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym Maria i Karol mieli opuścić swój kraj. Do portu dotarli jeszcze przed świtem. Jedyne bagaż, jaki mieli ze sobą, to jedzenie. Ich ubranie, nadwerężone podczas pracy w ostatnim tygodniu, wyróżniało ich z tłumu podróżnych. Szczególnie ubranie Karola bardzo podniszczało podczas rąbania drewna i noszenia worków z herbatą.

– W czasie podróży nie potrzebuję dobrego odzienia – odparł Karol na propozycję Marii, by kupił sobie coś nowego. – Przed wyjazdem zapakowałem do worka moje niedzielne ubranie. Jak tylko dopłyniemy, odbiorę bagaż i natychmiast się przebiorę. Od razu będę wyglądał lepiej.

Nagle powietrze przeszył huk wystrzału. To znak dla wszystkich podróżujących do Ameryki, którzy jeszcze byli w mieście, aby niezwłocznie udali się do portu. Przy brzegu pojawiła się łódka, którą pasażerowie mieli być przewożeni na statek. Kursowała wiele razy w tę i z powrotem, mimo że każdorazowo wsiadało do niej tyle osób, ile tylko zdołało się zmieścić. W mgnieniu oka port zapełnił się ludźmi. Wszędzie dookoła ktoś kogoś ścisnął. Wielu pożegnaniom towarzyszyły łzy i wzruszenie. Słychać było nerwowe pokrzykiwania, gorączkową bieganinę, szukanie bagażu.

Maria i Karol dostali się do łódki, kiedy ta po raz drugi przybiła do brzegu. Na statku z minuty na minutę przybywało pasażerów. Wszyscy byli coraz bardziej podekscytowani.

Nagle słońce przedarło się przez chmury i oświetliło ciepłym blaskiem port, redę, statek i jego pasażerów.

Maria przytuliła się do Karola i szepnęła:

– Spójrz, słońce świeci, kiedy wyjeżdżamy. Czyż to nie jest dla nas dobry znak, Karolu? Przed nami świetlana przyszłość. Bóg nam błogosławi.

Karol przytaknął zamyślony, nic jednak nie odpowiedział.

Nagle gwar ucichł i na pokładzie zapadła niezwykła cisza. Na środku pokładu stanął jeden z oficerów. Zdjął czapkę, a za nim uczynili to samo marynarze i prawie wszyscy pasażerowie. Młody oficer odmówił modlitwę, prosząc Boga o opiekę w czasie podróży i obronę przed niebezpieczeństwami na morzu.

– A gdzie kapitan? – zapytał półgłosem jeden z pasażerów. – To on powinien prowadzić modlitwę.

Kapitana jednak nigdzie nie było widać.

Po zakończonej modlitwie na pokład wniesione zostały tace z winem. Pasażerowie wznosili toasty za szczęśliwą podróż. Do Marii i Karola podszedł ów młody oficer, który odmawiał modlitwę przed podróżą. Na pytanie o kapitana, jedynie wzruszył ramionami.

Przy sterze stanęli sternik i pilot, którzy mieli prowadzić statek aż do wyjścia w morze. Opuszczony został mały żagiel, który załopotał na wietrze i naprężył się.

Marynarze, śpiewając, wyciągnęli z wody ciężką kotwicę. Zatrzeszczała, ale podnosiła się powoli i równo. „Ferdynand” majestatycznie wypływał w morze. Przez jakiś czas w oddali majaczyła jeszcze zielona wstęga wybrzeża, potem jednak zacierała się w szaroniebieskiej toni coraz bardziej, by wreszcie zupełnie zniknąć pasażerom z oczu. Teraz już tylko pomalowane na białą i czerwono boje wyznaczały kurs, którym pilot powinien prowadzić statek w zatoce Wezery i na Morzu Północnym.

MARIA I KAROL STALI na pokładzie i wpatrywali się w bezkresne morze. Zewsząd otaczała ich już tylko woda.

– Tęsknię za moim żywopłotem... – wyraziła swoje myśli Maria. – To chyba ta ogromna przestrzeń sprawia, że o nim myślę. Chciałabym teraz się w nim skryć i odpocząć, choć przez chwilę.

– Chodź, poszukamy naszego miejsca do spania – zaproponował Karol. – Tam jest podobno tak ciasno, że w porównaniu z tym miejscem twój żywopłot wyda ci się ogromny.

– Dobrze – zaśmiała się Maria. – Ale wcześniej przejdźmy się jeszcze po statku, chcę go obejrzyć.

Karol przystał na prośbę Marii. Z bliska jeszcze wyraźniej było widać, jak wysłużony był „Ferdynand”. W pokładzie część desek wymieniono na nowe, ale stare z pewnością były już spróchniałe. Drzwi prowadzące do kajut były aż czarne ze starości. Czy podczas sztormu na pewno wytrzymają napór przetaczających się przez statek fal? Maria od razu zwróciła uwagę na rysy i miejsca, nie pokryte farbą ochronną. Zaniepokoiła się i powiedziała o tym swemu ukochanemu. Ten jednak odparł pewnym głosem:

– To na pewno nie ma żadnego znaczenia. Marynarze tak by tego nie zostawili, oni przecież się na tym znają.

Wyjaśnienia Karola nie uspokoiły jednak Marii. Z przejęciem rozglądała się wokół i zauważyła w pobliżu młodego oficera, który wcześniej odmawiał modlitwę. Pilnował teraz marynarzy, którzy stawiali żagle.

– Chciałabym was o coś zapytać – zaczęła go Maria, uśmiechając się promiennie.

– Proszę, pytajcie – odpowiedział oficer.

– Ten statek jest chyba dość stary?

– Cóż, „Ferdynand” pływa od dość dawna, ale wciąż spełnia swoje zadanie i przewozi pasażerów przez to wielkie jezioro do Ameryki.

– Nie znam się na tym, wybaczcie mi więc moje wątpliwości, ale czy statek nie rozpadnie się w drodze ze starości?

– O to się nie martwcie! Ten statek mógłby rozpaść się tylko wtedy, gdyby sztorm wyrzucił go na skały. Statki, nawet te wysłużone, nie rozpadają się tak po prostu. Ewentualnie może zacząć przeciekać.

Wtedy do środka będzie przedostawać się woda. Ale mamy ze sobą cieślę, który z pewnością sobie z tym poradzi. Wybaczcie mi, ale nie mogę dłużej rozmawiać, jestem na służbie – oświadczył zdecydowanym tonem oficer, odwracając się w kierunku marynarzy.

– Bardzo dziękujemy za wyjaśnienia!

Prawie wszyscy pasażerowie zeszli już pod pokład. Na „Ferdynandzie” można na czas podróży wynająć kajutę, czyli osobne pomieszczenie, w którym mieszka się samemu lub z rodziną. Dostaje się wówczas trzy razy dziennie porządny posiłek. Ale taki luksus kosztuje i niewielu pasażerów mogło sobie na niego pozwolić. Większość z nich zakwaterowana została więc na półpokładzie. Tam też spali Maria i Karol.

Półpokład był niski i trzeba było się pochylić, by tam wejść. Podwójne koje umieszczone były jedna nad drugą. Bagaż podręczny należało zostawić pod koją zawieszoną niżej, a jeśli tam się nie mieścił resztę trzeba było ułożyć na swojej koi. Wtedy jednak niewygodnie było na niej leżeć i spać. Na statku była jedna łazienka dla kobiet i jedna dla mężczyzn. Toalet też było mało, a te które były, wciąż były zajęte, by z nich skorzystać trzeba było czekać w kolejce.

Kiedy młodzi zeszli pod pokład wolnych było jeszcze kilka koi. Wybrali podwójną. Trzeba było dobrze zapamiętać, gdzie ona jest, żeby potem móc ją odnaleźć. Wszystkie koje wyglądały tak samo. Trzeci rząd podwójnych koi, piąta koja po lewej. Na każdej koi leżał wypełniony morską trawą lub słomą materac oraz wełniany koc, który w nocy służył za przykrycie. Maria rozejrzała się wokół siebie. W tym miejscu spędzą najbliższe pięć albo sześć tygodni. Nie wyglądała chyba na nadzwyczajnie szczęśliwą, gdyż kobieta w średnim wieku, która ze swoimi dziećmi zajęła miejsce obok nich, spytała:

– I jak wam się tu podoba? Nie ma, niestety, zbyt dużo miejsca...

Maria odpowiedziała krótko:

– Jakoś to będzie.

Karol starał się wcisnąć pod koję worek, w którym mieli kielbasy, szynkę, słoninę i suszone owoce. Miejsca było jednak za mało. Woreczek z owocami musiał położyć na swojej koi. Owinięte płótnem kielbasy na szczęście zmieściły się na podłodze.

– Nie sądziłam, że będzie tu tak ciasno – szepnęła rozczarowana dziewczyna.

– Ten statek był kiedyś statkiem towarowym – wyjaśniła sąsiadka.
– Dopiero potem został tak przebudowany, by można nim było przewozić ludzi. Tak nam powiedział ten młody oficer. Tu gdzie śpimy był wcześniej magazyn, w którym przewożono towary. Dlatego jest tu tak nisko. A w dolnej części statku wciąż jeszcze przewożona jest drobnica. To dobrze, bo dzięki temu statek nie przewróci się nawet przy bardzo silnym wietrze.

– Jakoś to będzie – powtórzyła Maria, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem.

– Taka podróż nie kosztuje wiele. Jak ktoś jest biedny, nie może wybierać – stwierdziła kobieta.

Maria potakująco kiwnęła głową.

– Od jutra – dodała sąsiadka – w południe będziemy dostawać ciepły posiłek. Jako zadośćuczynienie za to, że mamy tu tak ciasno. A rano i wieczorem będą rozdawać chleb...

– Suchary – poprawiła Maria kobietę.

– Oczywiście. Suchary też.

– Karolu, chodźmy na pokład – poprosiła Maria. – Tu jest tak przerażająco ciasno i duszno...

Razem z nimi poszła sąsiadka i jej dzieci.

Statek znajdował się już na pełnym morzu i wybrzeże zupełnie zniknęło za linią horyzontu. Wiał rześki, ale przyjemny wiatr. Pasażerowie przyglądali się marynarzom, którzy stawiali kolejne żagle. Rzeczywiście były one brudnoszare, ale najważniejsze, że łapały wiatr. Każda minuta tej podróży przybliżała ich do celu, do nowej ojczyzny. I to dodawało im nadziei.

Pasażerowie długo stali na pokładzie i obserwowali otaczające ich zewsząd bezkresne morze.

– Zawsze tyle mówiono nam o chorobie morskiej – Maria dzieliła się z Karolem spostrzeżeniami. – Podobno daje się we znaki prawie wszystkim pasażerom. Ale mnie to kołysanie statku wcale nie przeszkadza.

– Fale nie są jeszcze duże, więc na razie tak bardzo nie kołysze –

odpowiedział Karol. – Mam nadzieję, że tak będzie przez całą podróż.

Gdy zapadł wieczór Maria i Karol wrócili do swoich koi. Chłopak od razu zauważył, że wśród kielbas, które zostawił pod swoją koją, brakowało największej. Położył się nawet na brzuchu, by dokładnie zajrzeć pod koję, ale to, co zobaczył upewniło go jedynie w przypuszczeniach.

– Ktoś nas okradł – powiedział do Marii. – Nie ma tej dużej kielbasy.

– Nie ma kielbasy? – Maria w pierwszej chwili nie zrozumiała słów Karola.

– Tak. Kiedy byliśmy na górze, ktoś, kto tu z nami śpi, wziął naszą kielbasę.

– W takim razie ona musi gdzieś tu być.

– Na pewno jest dobrze schowana pod jedną z tych koi. I raczej nie uda nam się jej odzyskać.

Maria wyraźnie posmutniała. „Akurat ta wspaniała suszona kielbasa...” – myślała zrezygnowana. Wiele razy wyobrażała sobie, jak codziennie będą odcinać po grubym jej plastrze i jeść wspólnie z Karolem.

– Pójdę do kapitana i zgłoszę mu tę kradzież – zdecydował Karol.

– Idź. Ja zostanę tutaj i będę pilnować naszego jedzenia – odpowiedziała Maria.

Karol poszedł na mostek kapitański. Tam właśnie najczęściej można było go znaleźć, teraz jednak byli tam tylko trzech oficerowie. Pasażerom nie wolno było wchodzić na mostek, Karol czekał więc aż ktoś do niego podejdzie. W końcu zauważył go młody oficer, ten sam, który na początku podróży odmawiał modlitwę.

– Widzę, że coś was trapi – oficer zwrócił się do Karola z troską. – Mogę wam jakoś pomóc?

– Kiedy byliśmy na pokładzie, ktoś zabrał część naszych zapasów. Spod mojej koi, zniknęła kielbasa. Czy moglibyśmy ją jakoś odzyskać?

– Musicie zrozumieć – odpowiedział przyjaźnie oficer – że załoga statku odpowiada za to, żeby statek bezpiecznie dotarł do celu. Nie możemy zajmować się sprawami pasażerów. Każdy sam powinien pilnować swojego bagażu.

Karol kiwnął głową ze zrozumieniem i przyznał słuszność swemu rozmówcy:

– Tak właśnie myślałem. Źle zrobiliśmy zostawiając nasze rzeczy, ale nie spodziewaliśmy się, że ktoś nas okradnie.

– Przykro mi, że nic nie mogę zrobić w tej sprawie. Na pewno teraz będziecie dobrze pilnować waszego jedzenia.

– Na pewno!

PIERWSZA NOC NA STATKU minęła spokojnie. Fale były niewielkie, więc wszyscy mogli się wyspać. Nikt nie cierpiał na chorobę morską. Na śniadanie rozdano podróżnym suchary. Każdemu z pasażerów po dwa. Taką samą porcję dostały dzieci.

– Muszą dużo jeść, przecież rosną – wyjaśniał mężczyzna roznoszący jedzenie.

W południe pasażerowie ustawili się w kolejce przed kambuzem. [Kambuz – kuchnia na statku.] Na obiad był kapuśniak, w którym pływały kawałki słoniny. Każdy brał blaszany talerz z zupą i wracał z nim na swoją койę. Wszyscy pilnowali, by nikt nie ustawił się w kolejce po raz drugi.

PO KILKU GODZINACH „Ferdynand” opuścił wody Morza Północnego i przepłynął przez cieśninę, mijając z lewej strony Calais na kontynencie europejskim, a z prawej Dover na południowym wybrzeżu Wielkiej Brytanii. Białe, strome skały w pobliżu Dover widać było z daleka. Na pokład wyszli prawie wszyscy pasażerowie, byle tylko je zobaczyć. Karol został jednak w swojej koi, by pilnować bagażu swojego oraz ich sąsiadki. Dopiero kiedy przyszła Maria, Karol mógł wyjść na pokład, by podziwiać błyszczące w słońcu skały kredowe.

Na pokładzie Maria miała okazję, by przez chwilę porozmawiać ze swoją sąsiadką. Dowiedziała się, że kobieta pochodzi z Hesji i mieszkała w okolicy gór Vogelsberg. Od ponad roku była wdową. Jej mąż był biednym robotnikiem i różnie u nich bywało. W zeszłym roku zmarł na suchoty. Od tej pory kobiecie i jej dzieciom bardzo pomagali mieszkańcy wioski. Jej brat wyjechał do Ameryki dawno temu, a ostatnio napisał list, w którym ich do siebie zaprosił. Ma w Ameryce farmę i przyda mu się każda pomoc.

– Jestem biedna i nie miałam pieniędzy na podróż – opowiadała kobieta. – Rada wioski kupiła mi i moim dzieciom najtańsze bilety na statek.

– To bardzo miłe – przyznała Maria.

– Miłe? Zależy jak na to spojrzeć – kobieta uśmiechnęła się z przekąsem. – Tym sposobem pozbyli się z wioski darmozjadów. Nasza podróż do Ameryki kosztuje ich mniej niż dalsze utrzymywanie nas w wiosce.

– Nie żal wam było wyjeżdżać z ojczyzny?

– A kto by się nad tym zastanawiał. Na pewno do końca życia będę tęsknić za moimi górami. Ale rada wioski tak się upierała, że w końcu ustąpiłam. Może to nawet lepiej. W końcu jadę przecież do brata. Na pewno lepiej będą tam miały moje dzieci.

CHOROBA MORSKA

NASTĘPNEGO DNIA FALE były już dużo wyższe i statkiem zaczęło mocniej kołysać. Nic dziwnego, „Ferdynand” był już na Atlantyku.

Nie trzeba było długo czekać na pierwsze przypadki choroby morskiej. Objawy zawsze są takie same: najpierw pojawiają się zawroty głowy, potem robi się niedobrze, a potem przychodzą nie kończące się torsje. Ci, których dopadnie choroba morska, stają się tak słabi, że jedyne czego pragną to zostać w swoich kojach. Niektórzy proszą, by pozwolono im wreszcie umrzeć.

Taki stan trwa zwykle kilka dni, czasem dwa tygodnie. Potem jednak objawy ustępują, jak gdyby ciało przyzwyczajało się do nieustannego kołysania. Chorym wraca apetyt, decydują się też wyjść na spacer. Po pewnym czasie wszystko wraca do normy i zaczynają funkcjonować jak przed chorobą.

Karol był jedną z pierwszych osób, u których wystąpiły objawy choroby morskiej. Maria stała z nim przy relingu i przerażona patrzyła na jego cierpienie, w żaden sposób nie mogąc mu pomóc. Marynarze poklepywali się tylko po plecach i śmiejąc się wołali głośno:

– Ryby na pewno są zachwycone!

Maria nigdy jeszcze nie widziała Karola w tak opłakanym stanie. Był taki bezradny. Zawsze dzielny i silny, teraz ledwie trzymał się na nogach. Kiedy jego żołądek był już zupełnie pusty, Maria zaprowadziła go pod pokład, do jego koi. Mężczyzna położył się czym prędzej, jęcząc przy tym cicho. Inni pasażerowie też zaczęli uskarżać się na objawy choroby morskiej.

– Najgorszemu wrogowi tego nie życzę – wymamrotał Karol do cna wyzuty z sił. – Mam nadzieję, że ciebie to ominie.

Maria czekała, aż jej też zrobi się niedobrze, ale przez cały dzień nic takiego nie nastąpiło. „Może należę do tej, nielicznej grupy osób, które nie zapadają na chorobę morską” – pomyślała Maria. I miała rację. Jej sąsiadkę torsje również zmusiły do wyjścia na pokład. Ona natomiast w ogóle nie chorowała.

„Z powodu dziecka też nigdy nie wymiotowałam – pomyślała Maria. – A przecież wielu kobietom to się zdarza na początku ciąży.”

Maria pomogła swojej sąsiadce, gdy ta musiała wyjść na pokład. Trójka dzieci pani Köddinger – tak nazywała się wdowa z Vogelsbergu – czuła się całkiem dobrze. Ona sama, po tym jak jej żołądek zwrócił całą zawartość, leżała, tak jak Karol, bezwładnie w swojej koi.

W końcu zjawił się lekarz pokładowy – okrągły, nieduży mężczyzna w grubych okularach na niebiesko-czerwonym nosie. Jego oddech nie pozostawiał złudzeń, że alkohol jest jego nieodłącznym towarzyszem. Jakby na potwierdzenie tego lekarz podawał chorym albo raczej usiłował wlać w jęczące gardła odrobinę wódki. Za każdym razem sam też pociągał z butelki solidny łyk.

Maria starała się pomóc lekarzowi przy pacjentach jak tylko umiała. U wielu pasażerów objawy choroby morskiej ustąpiły. Dziewczyna podtrzymywała ich delikatnie i podawała im do wypicia podobno najlepsze lekarstwo na chorobę morską – mocny alkohol. Obchodziła przy tym wszystkie koje i przy okazji sprawdzała, czy gdzieś nie znajdzie ukradzonej kiełbasy. Ale nigdzie jej nie było.

Po kilku dniach większość pasażerów czuła się już znacznie lepiej. Karol też wracał do zdrowia. Przydałoby im się teraz dobre pożywienie. O nie jednak było bardzo trudno. Do jedzenia dostawali na zmianę zupę grochową, fasolową albo kapuśniak, w którym pływało jedynie kilka kawałeczków słoniny. Powrót do zdrowia trwał więc znacznie dłużej. Jednak gdy minął kolejny tydzień, choroba morska nie dokuczała już właściwie nikomu.

KAROL OD DZIECKA przyzwyczajony był do pracy. Na statku nie miał jednak nic do roboty i ta nuda była dla niego nie do zniesienia. Poszedł więc do młodego oficera – Petersena – i spytał, czy marynarze nie potrzebują pomocy. Oficer podziękował mu grzecznie za propozycję, lecz odmówił. Karol nie przypuszczał nawet, że niebawem przyjdzie mu pracować na statku aż do wycieńczenia.

Jedną z koi na półpokładzie zajmowała starsza kobieta, która wciąż jeszcze nie wydobrzała po chorobie morskiej. Pani Blasing była bardzo osłabiona. Zamiast nabierać sił, coraz bardziej słabła. Wymioty

wprawdzie już ustąpiły, ale do toalety mogła dojść tylko z pomocą Marii, a zaraz po powrocie, wyczerpana, znów kładła się na swojej koi. Kobieta prawie nic nie jadła, nie miała apetytu. Maria często jej towarzyszyła. Siadywała przy niej, trzymała za rękę lub po prostu z nią rozmawiała.

Maria zaprzyjaźniła się z panią Blasing, która w podróż za ocean wyruszyła całkiem sama. Miała sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt pięć lat i przypominała nieco dziewczynie jej zmarłą matkę. Przy każdym posiłku Maria przekonywała ją, że jeśli tylko zje odrobinę, od razu wrócą jej siły.

– Dziecko, tak bardzo się o mnie troszczysz – powiedziała do Marii pani Blasing. – Jestem ci wdzięczna z całego serca. Bóg na pewno ci to wynagrodzi.

– Najlepszą nagrodą będzie dla mnie wasz powrót do zdrowia.

– Moje drogie dziecko. Wszystko w rękach Boga. Ale wydaje mi się, że niedługo wrócę do domu.

„Do domu? – pomyślała Maria. Czy ona już postradała zmysły? Stąd nie można wrócić do domu.”

– Jak to wrócić do domu? – zapytała.

– Myślę, że wkrótce umrę.

– Ależ co wy mówicie! – zaprotestowała Maria. – Musicie tylko więcej jeść, wtedy szybko wyzdrowiejecie.

– Nie, moje dziecko. Ja to wiem. Moje dni są policzone. Wiesz, czuję się jak ten apostoł, który powiedział: „Chcę odejść i być u Pana”.

– Czy tak jest napisane w Biblii? – spytała Maria. – W moim domu nie mieliśmy Biblii, więc nie znam wszystkich spisanych w niej historii.

– Nie mieliście Biblii? Hm... biednie więc tam u was musiało być...

– Nie wiem, na Biblię chyba nie było pieniędzy.

Maria wzruszyła ramionami.

– Dostaniesz moją. Obiecuję!

– Zatrzymajcie swoją Biblię. Musicie przecież wyzdrowieć.

– Jeśli Bóg pozwoli...

Następnego ranka pani Blasing zjadła suchara.

– Chcę opowiedzieć ci o moim życiu – zwierzyła się Marii. – Chcę byś wiedziała, jak bogata stałam się przez Słowo Boże, jak bardzo Bóg

troszczył się o mnie i czyni to nadal.

Maria usiadła przy chorej.

– Nie zmęczy was zbyt długo opowiadanie?

– Z pewnością. Ale chciałabym, żebyś poznała moją historię. Pochodzę z małej wioski w Westfalii. Mój mąż spodobał mi się, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi. Ja też mu się podobałam. Oboje byliśmy robotnikami i oboje byliśmy biedni, nikt więc nie sprzeciwiał się naszemu małżeństwu. Mieliśmy pięcioro dzieci. W naszej wiosce kupiliśmy od starego dziedzica duży kawał ugoru. Kosztował niewiele, ale i to oszczędziliśmy z wielkim trudem.

– Ugoru? A co to takiego?

– To ziemia niezdatna do uprawy. Jest nieurodzajna, albo porośnięta kolcami i ostem.

– W naszej okolicy takiej ziemi w ogóle nie było.

– Mój mąż codziennie rano, jeszcze zanim zaczął pracę we dworze, chodził na naszą ziemię, wycinał chwasty i zbierał kamienie. Z czasem ugor stał się bardzo urodzajnym polem.

Maria ze zrozumieniem kiwała głową. To potrafiła sobie wyobrazić.

– Ale mój mąż zmarł i zostałam sama z dziećmi. Wkrótce potem zmarł też stary dziedzic, a jego syn nie wiedział o sprzedaży ugoru. Twierdził, że ojciec dał nam ziemię jedynie w dzierżawę. Szukaliśmy umowy, ale kiedyś umów nie spisywano. Gdy się ułożono w jakiejś kwestii, podawano sobie ręce i to wystarczało. Opowiedziałam to wszystko przed sądem, ale nie przyznano mi racji. Bałam się, że będę musiała sprzedać mój mały domek, żeby mieć czym zapłacić za proces. Nie wiedziałam, jak będziemy dalej żyli. Na szczęście mogłam wszystko powierzyć Bogu w modlitwie. Błagałam Go o pomoc! Obiecał przecież troszczyć się o sieroty i wdowy.

Pani Blasing przerwała na moment swoją opowieść. Widać bardzo ją to męczyło.

– Wypijcie choć odrobinę. Od tego mówienia całkiem zaschnie wam w gardle – poprosiła Maria i podała kobiecie do ust dzbanek z wodą.

– Słuchaj dalej, moje dziecko!

– Mówiliście, że nie mieliście z czego opłacić kosztów procesu i wasz dom miał być sprzedany.

– Tak. Pewnego wieczora siedziałam przy kołowrotku i przędłam. Była piękna jesień, moje dzieci bawiły się przed domem. Byłam tak zmęczona wczesnym wstawaniem każdego dnia, że zasnęłam. I wtedy miałam bardzo dziwny sen. Przed mój dom zajechał wóz zaprzężony w cztery konie i wypełniony złotem. Woźnica, cały ubrany na czarno, zszedł z wozu i wszedł do mojej izby. „Wyładuję całe to złoto przed waszym domem i zostawię je wam, jeśli pozwolicie mi na jedną małą rzecz” – powiedział do mnie mężczyzna w czerni. „Co takiego?” – odpowiedziałam zdumiona. „Chcę wyciąć z Biblii, która leży na waszym stole, jedno zdanie”. Nie wierząc własnym uszom, spytałam: „Które zdanie chcecie wyciąć?” „Powierz Panu swoją drogę i zaufaj Mu: On sam będzie działał.” (Ps 37, 5) – odpowiedział mężczyzna, sięgając jednocześnie po nożyczki i moją Biblię. „Stój! – zawołałam oburzona. – To moje zdanie z konfirmacji. Tego nie możecie wyciąć. Za nic w świecie!” Dziwny gość spojrział na mnie złym wzrokiem i zniknął. Kiedy się obudziłam, wciąż miałam ten sen przed oczami, tak że nie wiedziałam, czy śniłam, czy to się działo na jawie.

– Czasami są takie sny – odpowiedziała Maria.

– Kolejnego wieczora cerowałam ubrania, siedząc przy oknie, i obserwowałam parobka naszego młodego dziedzica. Jechał na porywczym koniu nad pławisko, czyli staw, w którym kąpie się konie po długim i pracowitym dniu. Pławisko było zaraz obok mojego domu. W siodle przed parobkiem siedział jedyny synek dziedzica. Nagle koń stanął dęba i zrzucił chłopca do wody. Parobek próbował uspokoić narwane zwierzę, tymczasem malec zaczął tonąć. Wybiegłam więc z domu, wyciągnęłam chłopca na brzeg i zaniosiłam do łóżka. Osuszyłam go i uspokoiłam. Przebrałam go w suche ubranie moich dzieci i napiłam świeżym mlekiem. Kiedy chłopiec się wyspał, był już spokojny, zupełnie jakby nic się nie wydarzyło.

– Bogu niech będą dzięki! – wyszeptała poruszona opowieścią Maria.

Następnego ranka w mojej izbie zjawił się młody dziedzic i skruszony rzekł: „Uratowaliście moje jedyne dziecko. A mieliście dobry

powód, żeby się wcale o niego nie troszczyć. Dziękuję wam z całego serca! Tę ziemię, o którą spieraliśmy się w sądzie, daję wam w dowód wdzięczności. I jeszcze ten zagon, który z nią graniczy. Spiszemy umowę. A żeby wam w domu nigdy nie zabrakło mleka, dostaniecie ode mnie drugą krowę.”

Maria przysłuchiwała się historii z otwartymi ustami.

– Widzisz dziecko, tak Bóg się o mnie zatroszczył. Jak to dobrze, że ten przybysz w czerni nie wyciął z Biblii mojego wersetu: „Powierz Panu swoją drogę i zaufaj Mu: On sam będzie działał”.

– Co było z wami dalej?

– Od tamtej pory dobrze wiodło się mnie i moim dzieciom. Wszystkie już wyrosły na zaradnych i pracowitych ludzi. Mój dom oddałam synowi. A jedna z moich córek już dawno temu wyjechała z mężem do Ameryki. Zaprosiła mnie teraz do siebie, żebym u niej spędziła ostatnie lata mojego życia. Ale chyba już tam nie dotrę.

– Nie mówcie tak...

– Dziecko, zapamiętaj dobrze te słowa: „Powierz Panu swoją drogę i zaufaj Mu: On sam będzie działał”.

– Dobrze – obiecała Maria. Wciąż jednak biła się z myślami. – „Łatwo powiedzieć. Jeśli Karol jest moim bratem, Bóg nic tu nie pomoże. Raczej na odwrót, On wszystko zepsuł. Nie chcę mieć z Nim nic do czynienia. To wszystko nie ma sensu. I On też nie.”

Dwa dni później pani Blasing zupełnie straciła siły.

– Idę do Boga... – z trudem wypowiadała słowa. – Będę mogła kolejny raz podziękować Mu za to, jak się o mnie troszczył. Pod moją koją jest paczka. Daj ją, proszę, mojej córce. Będzie na mnie czekać w porcie. Na paczce jest jej nazwisko. Pozdrów ją ode mnie. I zatrzymaj moją Biblię. Zawsze ją czytaj.

Pani Blasing zamilkła wyczerpana i zamknęła oczy. Maria czuwała przy śpiącej kobiecie. Chora od czasu do czasu otwierała oczy, patrzyła na Marię i uśmiechała się. Po południu przestała oddychać. Dziewczyna posiedziała przy niej jeszcze przez chwilę, potem zamknęła jej powieki. I nagle wybuchła głośnym płaczem. Skąd ten niespodziewany ból? Pani Blasing przecież nie była jej aż tak bliska. Później zrozumiała, że to, co czuła, to był ból po stracie matki, którą ta kobieta jej przypomniwała.

Po jakimś czasie Maria uspokoiła się i poszła do lekarza pokładowego. Ten jednak był tak pijany, że z trudem utrzymywał się na nogach. Udała się więc do młodego oficera – Petersena – i jemu przekazała informację o śmierci pani Blasing. Oficer poszedł z dziewczyną pod pokład i upewnił się, że kobieta rzeczywiście nie żyje. Wezwał żaglomistrza, który przyniósł ze sobą kawałek płótna żaglowego. Karol pomógł przenieść zmarłą na płótno i obaj ostrożnie wynieśli ciało na pokład. Żaglomistrz prostym ścięciem zszył płótno, w które owinięta była kobieta.

Pasażerowie, gdy tylko dowiedzieli się o śmierci pani Blasing, wyszli na pokład, by zmówić za zmarłą modlitwę.

– Pomódlmy się – powiedział Petersen. – Ojczy nasz...

Wszyscy obecni modlili się w skupieniu, żegnając w ten sposób towarzyszkę podróży.

Oficer razem z Karolem podnieśli płótno z ciałem zmarłej i powoli opuścili je do wody. Ciało natychmiast zniknęło wśród morskich fal. „Ferdynand” płynął dalej.

– Gdzie właściwie jest kapitan statku? – spytał oficera Karol. – To przecież on powinien...

Petersen w odpowiedzi machnął tylko ręką i rzucił zrezygnowany:

– Nie chcę nawet o tym mówić. Kapitan cały czas spędza w ramionach czarnowłosej Hiszpanki, która mieszka w jego kajucie. Poza tym lubi alkohol, tak jak nasz lekarz. My oficerowie musimy dawać sobie radę bez niego. Ale proszę, nie mówcie o tym nikomu...

Karol obiecał, że zachowa tę informację dla siebie.

Tymczasem Maria zabrała Biblię pani Blasing i wsunęła między swoje rzeczy. Natomiast paczkę przeznaczoną dla jej córki położyła pod koją Karola, obok worka z jedzeniem.

SZTORM

NASTĘPNEGO RANKA NIEBO zasnuło się gęstymi, ciemnymi chmurami. Wysokie fale oceanu zrobiły się prawie czarne. Silne podmuchy wiatru targały masztami. W czasie, gdy wśród podróżnych roznoszono poranną porcję sucharów niebo przybrało tak straszliwy wygląd, że marynarze wymieniali między sobą znaczące spojrzenia. Zauważyli to także pasażerowie. Już poprzedniego wieczoru oficerowie polecieli zamknąć starannie wszystkie luki i zwinąć większość żagli. „Ferdynand” musiał oprzeć się falom, którymi ocean z ogromną siłą uderzał w dziób i boki statku. Nikomu z pasażerów nie wolno było wychodzić na pokład.

Późnym popołudniem wiatr nagle ucichł. Nastąpiła przejmująca cisza, która w porównaniu z tak niedawnym jeszcze świstem północnego wiatru i hukiem potężnych fal, robiła wręcz upiorne wrażenie. Zrobiło się tak duszno, że wprost trudno było wytrzymać. Na zachodzie niebo poczerwieniało. Wszyscy zastanawiali się: „Czyżby to zachodzące słońce, które jeszcze raz wyszło po burzy?”. Chwilę później w oddali pojawiła się na niebie chmura, która z wolna robiła się coraz większa i większa. Oficerowie i marynarze znów wymieniali między sobą spojrzenia pełne trwogi. Sytuacja była poważna. Nadciągająca chmura powiększała się teraz w bardzo szybkim tempie. Na horyzoncie można było już dostrzec białe wstęgi.

– Cała załoga na pokład! – wydał komendę Petersen.

Tajemnicze i groźne odgłosy przecinały drgające powietrze niczym brzytwa. Z daleka fale wydawały się białe jak śnieg, jednak wokół statku woda była mętna i czarna. Na powierzchni oceanu tworzyły się ogromne kręgi, które powiększały się w zastraszającym tempie i coraz bardziej zbliżały się do statku. Równocześnie w oddali rozległ się dźwięk przypominający wycie dzikich zwierząt. Po chwili ten sam dźwięk słychać już było nad statkiem. I wtedy na dobre zaczął się sztorm.

Już pierwszy gwałtowny podmuch wiatru prawie przewrócił statek. Końce rei, do których przymocowane były zrefowane żagle, niemal zanurzały się w wodzie. Na szczęście najniższy pokład statku

wypełniony był drobnicą. To uratowało go przed wywróceniem. Fale z hukiem roztrzaskiwały się o dziób. Pchane gwałtowną siłą wichru, pieniały się i wpadały na pokład niczym dzikie zwierzęta. Co rusz dało się słyszeć złowieszczy świst, a z chmur co i raz wyłaniały się błyskawice, zaś przez granatowe niebo przetaczały się ogłuszające grzmoty. Szarozielone góry wody z ogromną siłą uderzały o burty.

Nadeszła noc. Sztorm zmusił do podjęcia działań kapitana, którego do tej pory załoga właściwie nie widziała. Teraz kapitan niespodziewanie stanął na mostku i przejął dowodzenie. Świadomość niebezpieczeństwa, w jakim znalazł się jego statek, otrzeźwiła go zupełnie. Mężczyzna wykrzykiwał polecenia w kierunku sternika i upominał przemoczonych do cna marynarzy. Nagle w statek uderzyła potężna fala. Pod jej naporem wszystko niebezpiecznie się zatrzęsło. Mimo panujących ciemności Petersen spostrzegł, że miejsce gdzie jeszcze przed chwilą stał kapitan, teraz było puste. Oficer rozejrzał się dookoła, wreszcie jednak musiał zaakceptować to, co się stało! Kapitan znalazł się za burta! O ratunku na tym dzikim, gwałtownym morzu nawet nie było co myśleć.

Było już dobrze po północy, kiedy sztorm nieco zelżał. Wiatr jednak wciąż był na tyle silny, że „Ferdynand” jeszcze kilka razy mocno się przechylił. Wszyscy wstrzymywali wtedy oddech z przerażenia. Dzięki drobnicy, którą statek wiozł, za każdym razem udawało mu się podnieść. Petersen podzielił marynarzy na małe grupy i na zmianę wysyłał ich do kambuza. To pozwalało im odzyskiwać siły. Nikt nawet nie myślał tej nocy o śnie. Każdy wracał czym prędzej na swój posterunek, bo w każdej chwili sztorm mógł zacząć się od nowa.

Pasażerowie spędzili noc w swoich kojach, polecając siebie i swój los Bogu. Silne przechyły statku u wielu wywołały nawrót choroby morskiej. Nie zdołali oni dotrzeć do toalet i koje oraz przejścia między nimi pokryte były wymiocinami.

Na szczęście rano ocean się uspokoił. Można było swobodnie poruszać się po statku, bez obawy, że się straci równowagę. Maria postanowiła posprzątać przejście prowadzące do ich koi. Choroba morska oszczędziła ją i tym razem.

Pasażerowie wyszli na pokład, gdy tylko było to możliwe. Chcieli

wreszcie zaczerpnąć świeżego powietrza. Nawet ci, którzy do tej pory zachowywali dystans wobec siebie, teraz serdecznie się witali. Większość z nich czuła się tak, jakby dostała nowe życie.

W pewnym momencie do Petersena podszedł cieśla. Mężczyzna był bardzo blady. Z nerwów ledwie udało mu się wydukać:

– Mamy na statku trzy stopy wody!

– Trzy stopy wody? – Petersen odwrócił się i krzyknął do marynarzy:

– Wszyscy do pomp!

– Panie oficerze, co to oznacza? – spytał zaniepokojony Karol, który tym razem dobrze zniósł nocny atak choroby morskiej.

Petersen był wyraźnie zaniepokojony.

– To znaczy, że nasz statek przecieka. Tak się czasem dzieje w czasie gwałtownego sztormu. Miejmy nadzieję, że uda nam się szybko wypompować wodę. I że, z Bożą pomocą, znajdziemy nieszczęelne miejsce.

Kilku innych pasażerów usłyszało odpowiedź oficera i teraz zarzucali go pytaniami jeden przez drugiego. Petersen zebrał więc wszystkich na pokładzie i wyjaśnił im co zaszło.

Zakomunikował obecnym, że w nocy kapitan znalazł się za burtą. A teraz statek przecieka i zbiera się w nim woda. Zapewniał, że załoga robi co może:

– Wszyscy marynarze, którzy nie muszą być w tej chwili na pokładzie, są przy pompach i próbują jak najszybciej wypompować wodę i znaleźć miejsce, które przecieka.

– Może i my moglibyśmy pomóc przy pompach? – zaoferował się Karol.

Petersen zgodził się i cieśla pokładowy przygotował kolejną pompę, przy której pracował Karol oraz jeszcze jeden z pasażerów. Urządzenie wyglądem przypominało ogromną wagę belkową, pozbawioną szali. Na końcu belki po każdej stronie był uchwyt, którym podnosiło się i opuszczało belkę.

Mężczyźni pompowali wodę przez całe przedpołudnie. Pomimo ich wysiłków po kilku godzinach okazało się, że statek ma już cztery stopy wody.

Wszyscy byli coraz bardziej przerażeni. Pracowali przecież ze wszystkich sił, a wody wciąż przybywało.

– Nie mogę znaleźć jednego, konkretnego miejsca, przez które przecieka woda – powiedział cieśla. – Z przeciekiem poradziłbym sobie od razu. Najwyraźniej niektóre pianki są zmurszałe i przepuszczają wodę.

– Co możemy zrobić? – pytali pasażerowie.

– Pompować. Bez tego ta pływająca trumna zatonie w kilka dni.

Wieczorem sytuacja wcale się nie poprawiła.

– Cztery i pół stopy wody – podał cieśla.

Petersen natychmiast zebrał na pokładzie wszystkich pasażerów oraz marynarzy i przedstawił im sytuację na statku. „Ferdynand” dobrze zniósł sztorm, ale przeciekał. Nie można było znaleźć nieszczelnego miejsca, więc jedyne, co mogło uchronić go przed zatonięciem, to pompowanie wody.

Oficer przerywał i czekał, aż ucichnie gwar rozmów, które wywołały jego słowa.

– Do Baltimore najprawdopodobniej nie uda nam się dotrzeć – powiedział opanowany Petersen. Szemranie znów narastało. – Ale zbliżamy się – teraz Petersen musiał już przekrzykiwać pasażerów – do kursu, którym płynie wiele statków z Ameryki do Europy i Afryki Zachodniej. Jeśli nie uda nam się obniżyć poziomu wody na naszym statku, będziemy musieli przesiąść się na inną jednostkę. To dla nas jedyna szansa, by się uratować.

Na pokładzie znów zrobiło się głośno.

– Dlatego proszę wszystkich, żeby pomogli przy pompach. Poziom wody na statku ciągle się podnosi. Pompy muszą pracować dzień i noc.

Pasażerowie ustalili z marynarzami dyżury, tak by nie było przerw w wypompowywaniu wody.

– Czy my, kobiety, nie mogłybyśmy też jakoś pomóc?

– spytała Maria. – Jeśli ustawimy się jedna przy drugiej będziemy mogły wylewać wodę wiadrami.

Oficer przywołał cieślę i spytał wprost:

– Gdzie najlepiej nabierać wodę?

– W ładowni na dole – odpowiedział zdziwiony cieśla.

– Jest tu młoda dziewczyna, która proponuje, żeby kobiety też pomogły wylewać wodę.

Cieśla zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł:

– Możemy spróbować.

Maria zeszła na dół do ładowni. Wody rzeczywiście było tam tyle, że można ją było nabierać wiadrami.

– Skrzyknę kobiety i bierzemy się do pracy! – w głosie Marii pojawiła się nuta nadziei. Czym prędzej pobiegła na górę, by znaleźć pomoc. – Musimy pomóc utrzymać statek tak długo, aż przesiądziemy się na inny. Możemy stanąć obok siebie i podając sobie wiadra wylewać wodę za burtę. Kto mi pomoże?

Zgłosiło się kilka młodych kobiet. Miały jednak pewien dylemat:

– Co w tym czasie będzie z naszymi dziećmi?

– Zostawcie dzieci pod moją opieką – zaproponowała pani Köddinger. – Później ktoś mnie zmieni. A wy możecie iść pomóc wylewać wodę.

Pracowało tyle osób, że nie wystarczyło wiader dla wszystkich. Maria zabrała więc kilka z toalety.

– Będziemy musieli zamknąć kilka kabin, potrzebujemy wiader do wylewania wody – wyjaśniła.

Kobiety pracowały równie zawzięcie co mężczyźni. Napełniały wiadro za wiadrem, podawały do góry i wylewały wodę za burtę. Puste wiadra wracały do ładowni. Z czasem jednak tempo pracy osłabło. Wiadra były ciężkie a kobietom brakowało siły, by je dźwigać. Nie przerwały jednak pracy nawet na chwilę. Wróciły pod pokład dopiero wtedy, gdy było już zupełnie ciemno.

Maria była wykończona. Gdy zamknęła oczy miała wrażenie, że znów jest w Kleinem i chowa się w swojej kryjówce w żywopłocie. Wdycha zapach ziemi i letniego powietrza. I czuje się bardzo spokojna i bezpieczna. Jak tam jest pięknie! Nad polami słychać śpiew słowików, skóra rozkoszuje się pieszczotą słonecznych promieni. Jest tam z nią Karol... Maria zapadła w głęboki sen, a następnego dnia obudziła się wypoczęta i silniejsza.

WIADOMOŚĆ, JAKĄ RANO przyniósł cieśla, przeraziła

wszystkich. Mimo iż przez całą noc pompowano bez przerwy, na statku było już pięć stóp wody.

Mężczyźni dalej pracowali przy pompach bez chwili wytchnienia. Przy śniadaniu Maria podała Karolowi duży kawałek kiełbasy.

– Tak ciężko pracujesz przez cały czas. Musisz więcej jeść!

Po posiłku kobiety znów wylewały wodę wiadrami. Dziś przychodziło im to jednak z dużo większym trudem. Bolały ich ręce i plecy nienawykłe do tego rodzaju zajęcia. Mimo cierpienia, które malowało się na ich twarzach, kobiety nie przerwały pracy.

Na szczęście pogoda się poprawiła. Nic nie zakłócało pracy na statku, która w tej chwili ograniczała się głównie do pompowania i wylewania wody. Korzystny wiatr sprawił, że „Ferdynand” przepłynął spory kawałek na zachód.

Petersen, który przejął obowiązki kapitana, kazał wydać wszystkim dodatkową porcję sucharów i słoniny. Oficer stracił już nadzieję, że uda się doprowadzić statek do Baltimore. Pomimo ogromnego wysiłku i zaangażowania ze strony wszystkich poziom wody na statku wciąż się podnosił. W tajemnicy, by nie wzbudzać paniki, polecił bosmanowi oczyścić łodzie ratunkowe i zapakować do nich żywność i wodę.

– Mamy około osiemdziesięciu miejsc w łodziach – raportował bosman. – Ludzi na statku jest sto osiemdziesiąt. Około stu osób nie będzie miało żadnej możliwości ratunku.

– Czy z zapasowych rei da się zrobić tratwy? – spytał Petersen.

– Możemy spróbować – odpowiedział bosman. Z pomocą marynarzy zrobił cztery dodatkowe tratwy.

Następnego dnia niebo było bezchmurne. Słońce mocno przygrzewało. Pasażerom zaczęło dokuczać pragnienie, a woda z Wezery, którą wzięli ze sobą, już dawno zatęchła. Poziom wody na statku rósł nieprzerwanie. Petersen zebrał pasażerów, by im to oznajmić.

– Przesiądźmy się do łodzi ratunkowych – rozległy się krzyki, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. – Ta łajba wytrzyma najwyżej jeszcze kilka godzin. Potem pójdzie na dno tak szybko, że nie zdołamy nawet wsiąść do łodzi i tratw.

– „Ferdynand” jeszcze płynie – przerwał zdecydowanie Petersen. – Kto twierdzi, że na tratwie będzie bezpieczniejszy, może się przesiąść.

Nikogo nie zatrzymuję. Kto chce, może opuścić statek. Lodzie zostaną jednak na statku do samego końca. Opuśćcie na wodę tyle tratw, ile zgłosi się ludzi i podzielcie jedzenie i wodę. Kto zdecyduje się jednak zostać na pokładzie, będzie musiał bezwzględnie podporządkować się moim rozkazom. A to oznacza pracę przy pompach, do samego końca. Musimy postarać się jak najdłużej utrzymać statek na powierzchni. Kto zatem zostaje, niech stanie po mojej prawej stronie. Kto chce się przesiąść na tratwy – po lewej.

– My zostajemy! – głośno krzyknęła Maria. – Będziemy pracować ze wszystkich sił.

Odwaga jednej młodej kobiety zdawała się porywać wszystkich.

– Chcemy pracować do upadłego! – zawtórowało jej wiele głosów.

Po lewej stronie nie stanął nikt.

– Zabieramy się zatem do pracy!

Następnego dnia rano kilku mężczyzn było już tak osłabionych, że nie mieli siły pompować, kiedy nadeszła ich kolej. Mimo to pompy nie przestały pracować ani na moment.

Okolo jedenastej na statku rozeszła się niczym błyskawica wspaniała wiadomość: „Żaglowiec na bakburcie!”.

Petersen wybiegł z lornetką na pokład. Rozejrzał się i krzyknął:

– Dotarliśmy do miejsca, w którym mamy szansę spotkać inny statek. Ten jeszcze nie zobaczy „Ferdynanda”, ale któryś z następnych na pewno nas dostrzeże.

Oficer długo wpatrywał się w statek płynący na horyzoncie i głośno myślał:

– Ten żaglowiec nas nie uratuje. Jest za bardzo na południe i nie zobaczy naszego sygnału. Ale jutro może się udać! Tędy pływa wiele statków. Dziś w nocy zapalimy niebieskie światło i wystrzelimy rakiety, żeby kolejny statek, który będzie w pobliżu, mógł nas zauważyć.

RATUNEK

WIDOK STATKU NA HORYZONCIE sprawił, że we wszystkich obecnych na pokładzie wstąpiły nowe siły. Ratunek był blisko! Po południu Petersen polecił oporządzić wszystkie łodzie i tratwy, by w każdej chwili były gotowe do wodowania. Karol akurat nie miał dyżuru przy pompach, pomagał więc przy łodziach.

Nadeszła kolejna noc i spowiła czernią sunący po oceanie statek i jego zmęczonych pasażerów. Od północy, w usłane gwiazdami niebo, w równych odstępach czasu, wystrzeliwano race, a co pół godziny zapalano niebieskie światło. Marynarzom towarzyszyło na pokładzie kilku mężczyzn, którzy z wrażenia nie mogli zasnąć. Wreszcie około czwartej nad ranem, w górze po prawej stronie statku, dostrzegli błysk wystrzelonej w oddali rakiety. Petersen nie zwlekał z odpowiedzią ani chwili. Posłał w niebo trzy skrzące się czerwone wstęgi. Na pokładzie wszyscy wstrzymali oddech i w napięciu czekali na odpowiedź. Tych kilka minut dłużyło się w nieskończoność. I nagle – jest! Wysoko na niebie rozbłysła biała gwiazda – odpowiedź z innego statku.

Petersen natychmiast rozpoczął namierzanie i po chwili było już wiadomo, gdzie znajduje się statek, który płynie im na pomoc. Co dziesięć minut z „Ferdynanda” wzbijała się w niebo rakietą wskazująca położenie statku. Wśród obecnych na pokładzie był też Karol. Czym prędzej pobiegł do Marii, by przekazać jej radosną nowinę! Podekscytowana dziewczyna wyszła razem z nim na pokład. Oboje chcieli zobaczyć, jak będzie przebiegała akcja ratunkowa.

Rankiem nad powierzchnią morza unosiła się gęsta mgła. Gdy wreszcie opadła, oczom zebranych ukazał się statek, który był dla nich wybawieniem. Teraz byli już pewni, że wkrótce do nich dotrze. Najdalej za godzinę. Wszystkich ogarnęła fala radości. Nawet starsi pasażerowie, którzy nie mogli pomagać przy pompach ani przy wylewaniu wody i prawie żegnali się już z życiem, nagle poczuli przypływ nowych sił. Wszyscy poczęstowani zostali herbatą z rumem, którą Petersen kazał przygotować dla podtrzymania radosnego nastroju.

„Ferdynand” po raz ostatni wykonał skręt. Statek z coraz większym

trudem sunął wśród niewielkich fal Atlantyku.

Na pokładzie wszyscy obserwowali, jak z tamtego, dużo mniejszego statku, została spuszczone na wodę łódź. W niedługim czasie podpłynęła do „Ferdynanda”. Kiedy jednak przybyły kapitan wszedł na pokład i popatrzył na twarze obecnych, na których malował się paniczny strach i nadludzkie zmęczenie, chciał – przynajmniej tak się wydawało Karolowi – natychmiast zawrócić.

Petersen najwyraźniej był na to przygotowany. Gdy tylko kapitan znalazł się na statku, oficer podszedł do niego, przywitał serdecznie i zaprosił do swojej kajuty.

– Jestem kapitan Petersen!

– Kapitan Gomez... – padła odpowiedź.

Gomez niechętnie podążył za Petersenem. Widać było, że miał do siebie pretensje o to, że zaangażował się w tę historię. Petersen poprosił gościa, by usiadł. Gomez uczynił to, ale wbrew sobie. Drzwi do kajuty Petersena pozostały otwarte. Karol, do którego mijający go oficer mrugnął porozumiewawczo, słyszał każde słowo ich rozmowy. Niestety rozmowa odbywała się po angielsku i chłopak nic z niej nie rozumiał. Zauważył jednak zmianę tonu głosu obu mężczyzn, którzy najwyraźniej kłócili się ze sobą.

Nagle w kajucie rozległ się huk strzału z rewolweru. Z kajuty wybiegł Gomez i wpadł wprost w ramiona Karola. Przez chwilę nie wiedział, co się dzieje, jednak szybko zorientował się w sytuacji i próbował za wszelką cenę wyrwać się z żelaznych objęć Karola. Hiszpan szarpał się, nie żałując chłopakowi bolesnych kopniaków, jednak ten nie zwalniał uścisku. Po kilku minutach z kajuty wyszedł Petersen, trzymając się za lewe ramię. Na mundurze widoczna była duża czerwona plama krwi.

– Trzymajcie go! Trzymajcie go! – gorączkował się Petersen. – Ten drań nie chce nam pomóc. Z zimną krwią pozwoli na to, byśmy zatnęli.

Ta wiadomość rozjuszyła kilku marynarzy i pasażerów, którzy rzucili się na walczących i próbowali obezwładnić Hiszpana. Gomez zdołał jednak niepostrzeżenie wyciągnąć sztylet, który zamierzał wbić Karolowi w plecy. Jego ruch zauważyła jednak Maria i błyskawicznie

zareagowała. Z głośnym krzykiem podbiegła do walczących mężczyzn i obiema rękami, ze wszystkich sił, przytrzymała dłoń, w której Gomez ścisnął sztylet. Nóż niebezpiecznie zbliżył się do jej twarzy. W tym momencie jeden z marynarzy wyrwał sztylet z ręki kapitana. Chwilę później Gomez został obojętny i związany. Petersen rozkazał nawet zakneblować mu usta.

Marynarze, którzy przybyli z kapitanem Gomezem i czekali na jego powrót w łodzi, najwyraźniej nic nie zauważyli.

– Słuchajcie! – krzyknął do nich stojący na pokładzie Petersen. – Płyńcie z powrotem na swój statek i przyprowadźcie tu wszystkie szalupy jakie macie!

Nawykli do posłuszeństwa marynarze bez słowa protestu wykonali polecenie Petersena.

Oficer zwrócił się do pasażerów i załogi „Ferdynanda”:

– Ten kapitan nie chciał nas uratować! Nikt z jego ludzi nie może się dowiedzieć, że go więzimy. Będziemy musieli przejąć jego statek, aby nie doszło do buntu załogi. Nie dajcie jednak nic po sobie poznać, dopóki nie wejdziemy na tamten pokład.

Na wodę spuszczone wszystkie łodzie i tratwy. Również szalupy z „Castella Mare” – statku, który przybył im na ratunek – przewoziły tyle ludzi, ile tylko zdołały pomieścić.

– Najpierw kobiety i dzieci! – zarządził Petersen.

Maria pomogła pani Köddinger i dwójce jej dzieci wsiąść na pierwszą tratwę. Karol i Maria mieli popłynąć pierwszą łodzią.

– Silny jesteś, nie ma co! – powiedział Petersen do Karola. – Uważaj, żeby załoga na tamtym statku nie wszczęła buntu. Dopiero gdy statek będzie w naszych rękach, weźmiemy na niego kapitana.

Maria pobiegła jeszcze na półpokład i zabrała Biblię oraz paczkę dla córki pani Blasing. Włożyła je do worka, w którym przechowywali ostatni kawałek kielbasy. Potem wróciła do Karola i razem wsiadli do łodzi. Marynarze wiosłowali sprawnie i niebawem młodzi byli już na pokładzie „Castella Mare”. Gdy tylko jedni pasażerowie wysiedli, łódź natychmiast zawracała po kolejnych. Marynarze bardzo się spieszyli. „Ferdynand” w każdej chwili mógł zatonać.

Jako ostatni na pokładzie „Castella Mare” pojawił się Petersen.

Lekarz pokładowy, który w międzyczasie zdołał zupełnie wytrzeźwieć, opatrzył mu ranę i założył opatrunek. Na szczęście nie było to nic groźnego – kuła ledwie drasnęła ramię oficera.

W łodzi, którą przy płynął Petersen, przywieziono też związanego kapitana. Zakneblowany Gomez nie mógł nic powiedzieć, ale w jego spojrzeniu kryła się nienawiść i chęć zemsty.

Załoga „Castella Mare” zażądała od wchodzącego na pokład Petersena wyjaśnień, dlaczego uwięziono ich kapitana.

– Na otwartym morzu napadliście na statek amerykańskiego obywatela – oświadczył w pierwszych słowach jeden ze starszych rangą marynarzy. – Zdajecie sobie sprawę, że możecie zapłacić za to głową? Amerykanie nie żartują w takich przypadkach! Ale z tym będziecie musieli poradzić sobie sami.

– Nie martwcie się o mnie! – odparł niewzruszony Petersen. Po tym co przeżył, był zdeterminowany. – Odpowiadając za życie tylu ludzi, nie mogłem postąpić inaczej.

– Tak jak powiedziałem, wy będziecie się z tego tłumaczyć – powtórzył marynarz wzruszając ramionami.

– Załoga „Castella Mare” nie będzie stawiać oporu. Jest was za dużo, nie mielibyśmy żadnych szans.

Jako ostatni na pokład statku został wprowadzony kapitan. Wszystko wskazywało na to, że nie był zbyt lubiany przez swoją załogę, nikt nawet nie próbował walczyć o jego uwolnienie. Na twarzach wielu marynarzy pojawił się zgoła uśmiešek zadowolenia. Więźnia zamknięto w kajucie. Petersen, który zdołał się już przekonać, jak niebezpieczny może być Gomez, polecił jednemu ze swoich marynarzy, by pilnował kapitana.

W końcu dla „Ferdynanda” nadeszła ostatnia godzina. Statek coraz słabiej opierał się falom. Nagle przechylił się, a jego dziób w ciągu paru minut był już pod wodą. Przez moment jakby się wahał, trzymając rufę wzniesioną wysoko. Z każdą chwilą jednak zanurzał się coraz bardziej, aż zniknął zupełnie w odmętach oceanu. Tylko unoszące się na powierzchni wody przedmioty jeszcze przez jakiś czas znaczyły miejsce, w którym zatonął.

NA PRZYKRE MYŚLI nie było jednak czasu. Trzeba było ponownie zorganizować się na nowym statku. Pasażerowie znaleźli schronienie w niewielkich pomieszczeniach, w których zwykle przewozi się niewolników. „Castella Mare” była bowiem statkiem handlowym i służyła też do transportowania niewolników z Afryki do Ameryki. Koje były tutaj jeszcze mniejsze i ciasniejsze niż na półpokładzie „Ferdynanda”.

Na to jednak nikt nie zwracał uwagi. Wszyscy pasażerowie bezgranicznie cieszyli się, że uszli z życiem. Wiedzieli też, że podróż nie potrwa już długo. Bagażu właściwie nie mieli. Ich kufry i worki spoczęły teraz razem ze statkiem na dnie oceanu. W nowej ojczyźnie będą musieli zaczynać wszystko od nowa.

Petersen rozkazał marynarzom, by sprawdzili zapas wody i jedzenia na „Castella Mare”. Gdy dowiedział się, jakimi ilościami dysponują, kazał zwołać pasażerów „Ferdynanda” i oznajmił:

– Przy takiej liczbie osób zapas wody na statku jest minimalny – poinformował zebranych na pokładzie.

– Ale naszym celem zawsze było Baltimore i mam zamiar tam dotrzeć. To jednak oznacza, że musimy bardzo oszczędzać wodę. Od tej chwili wody będzie można używać jedynie do picia. Oczywiście nie dotyczy to małych dzieci.

Kiedy pasażerowie się rozeszli, Petersen przywołał do siebie Karola i Marię.

– W trudnej sytuacji zachowałeś przytomność umysłu i okazałeś się prawdziwym przyjacielem – zwrócił się do Karola przyjaźnie i jakby mniej oficjalnie. – Nie chcę nawet myśleć, co by było, gdyby ten drań zdążył wskoczyć do swojej łodzi i odpłynąć... Bylibyśmy zgubieni. Musielibyśmy przesiąść się do naszych łodzi. A wtedy... No cóż...

– Ja go tylko przytrzymałem... – odpowiedział skromnie Karol.

– I o to chodziło! Inaczej zdołałby nam uciec. W Baltimore będę miał jednak problemy. Według prawa amerykańskiego to, co zrobiliśmy, jest napaścią na statek. Obawiam się, że stanę przed sądem.

– Ale on odmówił nam pomocy. Miałem pozwolić, byśmy wszyscy zatonęli?

– Każdy zrozumie, że nie mogliśmy postąpić inaczej. Nie wiem jednak, czy to wystarczy, aby sąd mnie uniewinnił. Dlatego będę potrzebował ciebie jako świadka. Ciebie i twojej żony. Chciałbym was prosić, żebyście zaraz po przybyciu na miejsce nie opuszczali Baltimore, ale zostali tam nieco dłużej, na wypadek gdyby wasze zeznania były potrzebne przed sądem.

– To będzie dla mnie honor, panie kapitanie.

– Możesz mi mówić Tom. Bardzo doceniam to, co zrobiłeś w czasie naszej podróży. Ty i twoja małżonka. Dziękuję wam!

Karol nic nie odpowiedział, uśmiechnął się jedynie zakłopotany. Maria też się uśmiechnęła. Była bardzo dumna ze swojego Karola i szczęśliwa, że udało im się przeżyć.

W BALTIMORE

WODA, KTÓRĄ DOSTAWALI na „Castella Mare” smakowała znacznie lepiej, niż ta, którą pili na „Ferdynandzie”. Jednak jej dzienny przydział był bardzo mały i nie wystarczał, by ugasić pragnienie. Przez pierwsze dni mężczyźni głównie spali, regenerując siły po wyczerpującej pracy przy pompach na „Ferdynandzie”.

Maria zauważyła, że kiedy mniej się ruszała, pragnienie nie dokuczało tak bardzo. Dlatego cały czas spędzała w swojej koi, czekając na kolejną porcję wody. W myślach wciąż wracała do rodzinnych stron, do żywoplotu i do poczucia bezpieczeństwa, które zawsze dawała jej ukochana kryjówka.

Czasem przeglądała też Biblię, którą podarowała jej pani Blasing. Siadała na pokładzie i czytała. Najpierw wyszukała historię Adama i Ewy oraz ich dzieci, które po wygnaniu z raju mogły poślubić jedynie swoich braci i siostry. Na pierwszych stronach Biblii nie było jednak ani słowa na temat, który tak ją interesował. Czytała więc dalej, wybierając fragmenty, w których pojawiały się dobrze znane jej imiona: Noe, Abraham, Mojżesz.

W tym czasie po raz pierwszy poczuła też życie, które nosiła w sobie. Jej dziecko dawało o sobie znać. Szczęśliwa opowiedziała o tym Karolowi. Karol też się ucieszył, ale widać było, że coś go martwi.

– Niedługo dopłyniemy do Ameryki. Tam wszystko będzie inaczej. Nikt nie będzie wiedział o naszej tajemnicy. Znajdziemy księdza, który udzieli nam ślubu! – Maria z entuzjazmem planowała ich najbliższą przyszłość.

Nagle z pokładu dotarły do nich radosne okrzyki. Marynarze palcami wskazywali na niebo. Powodem ich wielkiej radości był ptak. Jego obecność oznaczała, że kontynent był już blisko. Następnego dnia wszyscy pasażerowie na własne oczy mogli dostrzec białą wstęgę, wyraźnie odcinającą się od linii morza. Łąd na horyzoncie! Po południu „Castella Mare” wpłynęła do szerokiej zatoki, na której końcu znajdowało się Baltimore. Prowadzony przez pilota statek przedarł się przez gąszcz masztów innych jednostek i wreszcie wpłynął do portu.

Zrzucono kotwicę.

Podróżnych ogarnął niesamowity szal radości. Czekające w pogotowiu łodzie przewiozły wszystkich na ląd. Po tak długim przebywaniu na wodzie dla wielu chodzenie po stałym lądzie było z początku trudne i nieprzyjemne, ale dziwne wrażenie zniknęło bardzo szybko.

Petersen nie podzielał w pełni ich radości. Mimo wszystko obawiał się konsekwencji swej decyzji. W pierwszej kolejności rozkazał uwolnić kapitana Gomeza, który dumnie wsiadł do łodzi i pozwolił zawieźć się na ląd. Po półgodzinie na pokład „Castella Mare” wkroczyła policja portowa, oznajmiając Petersenowi, że jest aresztowany. Nie wolno mu było opuszczać statku. To samo dotyczyło Karola. Pomógł Petersenowi w napadzie na kapitana Gomeza i dlatego również został aresztowany. Maria natomiast mogła opuścić statek.

Dziewczyna wzięła pakunek, który miała przekazać córce pani Blasing. – Niebawem wrócę – powiedziała do Karola. – Ale najpierw chcę wypełnić moją obietnicę.

Maria dotarła na ląd w małej łódce. Przywiózł ją jeden z marynarzy. Po raz pierwszy stanęła na ziemi, która odtąd miała być jej nową ojczyzną. Czowała się zupełnie wyjątkowo, gdyż wiedziała, że od tej chwili zaczyna się zupełnie nowy etap w jej życiu. „Tutaj, moje małeństwo – szepnęła do swojego nienarodzonego dziecka – będziesz rosło wolne i bezpieczne. Tu będzie nam dobrze. Nam wszystkim, tobie, mnie i twojemu ojcu.”

Maria rozejrzała się wokół siebie i zaczęła się zastanawiać, jak w tym tłumie uda jej się znaleźć kobietę, której ma przekazać paczkę od staruszki. Na pudełku widniał napis „Elisabeth Schade”. Kobieta musiała gdzieś tu być, przecież miała przyjechać po swoją matkę. Maria podchodziła więc do różnych kobiet i pytała: „Wy jesteście Elisabeth Schade?”. Paczkę trzymała wysoko, tak, by była dobrze widoczna. Zagadnięte kobiety patrzyły na Marię zdziwionym wzrokiem. Najwyraźniej nie znały języka, w którym mówiła.

Nieco z boku stała para, która z uwagą obserwowała przybyłych pasażerów. Kobieta była w średnim wieku i z wyglądu przypominała jej nieco panią Blasing.

– Przepraszam, czy pani Elisabeth Schade? – zapytała Maria.

Kobieta popatrzyła na nią zaskoczona.

– Tak, to ja. Ale...

– Wiem, że czekacie na waszą matkę... – zaczęła niepewnie dziewczyna.

– Gdzie jest moja matka? Jest chora?

– Nie, nie jest chora. Ona... – Maria przerwała a jej oczy wypełniły się łzami. – Ona...

– Czy moja matka nie żyje? – spytała zatrwożona kobieta.

Maria potakująco kiwnęła głową.

– Ale jak to możliwe? – krzyknęła pani Schade. Nagle pobladła i cała zaczęła się trząść. – Moja matka przecież czuła się dobrze i była taka energiczna – łkała, z trudem wypowiadając słowa. – To niemożliwe. To nie jest ten statek, którym miała przyplłynąć. To wszystko jest pomyłką.

– To nie jest pomyłka. Niestety... – odpowiedziała cicho Maria.

Pan Schade objął żonę ramieniem i zaprowadził w spokojniejsze miejsce.

– Proszę pójść z nami – zwrócił się do Marii. – Chcielibyśmy się wszystkiego dowiedzieć.

Weszli w boczną uliczkę, gdzie stało kilka ławek.

– Proszę usiąść z nami i opowiedzieć nam, co się stało. Widzę, że przyszliście na jej prośbę.

Maria przytaknęła i zaczęła mówić o ciasnej koi, o chorobie morskiej i o trudach podróży, które okazały się zbyt ciężkie dla pani Blasing. Opowiedziała im też o pełnych nadziei i wiary słowach zmarłej i o pochówku na morzu. Wreszcie wyjaśniła, dlaczego przybyli na innym statku niż ten, którym wyruszyli z Bremy, i w jaki sposób pasażerowie „Ferdynanda” dostali się na „Castella Mare”.

Na końcu przekazała pani Schade paczkę.

– Ostatnim życzeniem waszej matki było to, bym wam ją oddała. Spełniłam więc jej prośbę. Na paczce jest wasze nazwisko.

– Dziękuję – powiedziała cicho pani Schade, wciąż ogromnie poruszona tym, co się stało. – Co też matka mogła nam dać? Ona przecież niczego nie miała.

– Ja też jestem ciekaw – odezwał się pan Schade.

– Zobaczmy, co jest w środku.

Paczkę nie tak łatwo było otworzyć, ale po chwili udało im się rozerwać papier, w który zawinięta była drewniana szkatułka. W niej, na ozdobnym welurze, ułożony był złoty łańcuszek z krzyżykiem.

Pan Schade w zdumieniu oglądał prezent.

– Jeśli mnie wzrok nie myli, to jest łańcuszek, który nosiła moja matka. Odziedziczyła go po babce, która z kolei dostała go od swojego ojca na konfirmację. Moja babka pochodziła z bardzo bogatej rodziny. A teraz dała go mnie...

Maria musiała opowiedzieć wszystko jeszcze raz – bardzo dokładnie. Pani Schade szczególnie zależało na tym, by dowiedzieć się, jak wyglądały ostatnie godziny życia jej matki. Maria wspomniała im też o Karolu, który pomógł uwięzić kapitana „Castella Mare” i teraz miał być za to sądzony.

– Wiem, jak wyglądają tutejsze procesy – powiedział pan Schade.

– Wybiera się dwunastu przysięgłych i to oni decydują, czy ktoś jest winny czy niewinny. To jest zawsze niezłe przedstawienie dla widzów. Przede wszystkim potrzebujecie dobrego obrońcy. I wiem nawet, kto mógłby nim być. Zaraz udam się do Wilsona Strassheima, pastora niemieckiej parafii w Baltimore. Wilson Strassheim urodził się w Ameryce, świetnie zna angielski i cieszy się wśród mieszkańców miasta dużym poważaniem.

– Nie rozumiem... – zaczęła się jąkać Maria.

– Nic nie szkodzi, droga pani – odparł pan Schade.

– Gdy dojdzie do procesu, ktoś musi bronić waszego męża i młodego kapitana. Postaram się dla nich o dobrego obrońcę. Pan Schade wstał z ławki i zwrócił się do żony:

– Elisabeth, zostań tu z panią. Ja zaraz wrócę.

– Mój mąż ma rację. Dobrze zrobi, powiadamiając pastora – przyznała pani Schade, w której oczach wciąż jeszcze błyszczały łzy.

Maria znów wybuchła płaczem. „Dlaczego ostatnio tak często zdarza mi się płakać? – pytała samą siebie. – Kiedyś tyle nie płakałam. Czy to z powodu dziecka? Czy dlatego, że Karol i ja...”

Zadumała się.

„Może to dlatego, że Karol od tak dawna mnie nie przytulił – przyszło jej na myśl. – Ani na pokładzie «Ferdynanda», ani na «Castella Mare» nie było to możliwe. Niedługo będziemy wreszcie razem na lądzie i wtedy znów wszystko będzie dobrze. Żebyśmy jednak mogli snuć dalsze plany, najpierw musi odbyć się proces, a Karol musi zostać oczyszczony z zarzutów...”

Pani Schade wciąż nie potrafiła opanować płynących z jej oczu łez, więc by nieco się uspokoić zaczęła wypytywać dziewczynę o to, co zamierzają wspólnie z Karolem:

– Jakie są wasze plany na przyszłość?

– Chcemy kupić kawałek ziemi i zająć się gospodarstwem – odpowiedziała Maria.

– Na zachodzie ziemia nie jest droga. Mieszkają tam wprawdzie Indianie, ale za to gleba jest żyzna. Mój mąż na pewno pomoże wam i w tej sprawie. Zna pośredników, którzy sprzedają tam ziemię.

Nagle Maria wstała gwałtownie, jakby sobie o czymś przypomniała.

– Karol będzie się o mnie martwił. Na pewno już na mnie czeka. Muszę wracać na „Castella Mare”.

– Nie, lepiej zostańcie tu ze mną – pani Schade delikatnie posadziła Marię z powrotem na ławce. – Zaraz wróci mój mąż i, miejmy nadzieję, przyprowadzi ze sobą Wilsona Strassheima. Musicie mu wszystko dokładnie opowiedzieć, by mógł przygotować obronę waszego męża.

CHWILĘ PÓŹNIEJ WRÓCIŁ pan Schade. Towarzyszył mu ubrany na czarno, elegancki mężczyzna.

– Pastorze, to jest właśnie ta młoda dama, o której mówiłem.

Maria wstała i przywitała się z pastorem.

– Witajcie na naszej ziemi! – przywitał ją serdecznie Wilson Strassheim. – Mój przyjaciel, pan Schade, opowiedział mi w jakich znaleźliście się tarapatach. W całym mieście mówi się już o tym, jak na pełnym morzu niemiecka załoga napadła na amerykański statek, a jego kapitana uwięziła. Wszyscy nie mogą się już doczekać procesu i są przekonani, że bandytów z Old Germany należy powiesić.

– Powiesić? – wydukała Maria i z przerażenia aż zakryła dłonią

usta.

– Spokojnie, droga pani – odparł Strassheim – na pewno jakoś uda się to załagodzić. Ale nie będzie łatwo, bo mimo wszystko należy sprawę traktować jako napaść na statek – dodał, uśmiechając się pocieszająco.

Maria znów zaczęła płakać, nie mogąc pogodzić się z tym, co ich spotkało:

– To niemożliwe, żeby w tym kraju lepiej traktowano kogoś, kto chciał pozwolić, by utonęło ponad dwieście osób.

– Macie w zupełności rację. I tak przedstawimy sprawę, żeby inni też byli o tym przekonani.

Maria opowiedziała pastorowi wszystko, co wydarzyło się podczas przejmowania „Castella Mare” przez załogę „Ferdynanda”. Słuchając tego, co mówi Maria, sceptyczny z początku mężczyzna wyglądał na coraz bardziej zadowolonego.

– Jeśli wszystko przebiegało tak, jak mi przekazaliście, to jestem dobrej myśli – oznajmił. – I wy też się nie martwcie! Plotki, które opowiada się w mieście, przedstawiają całą sprawę zupełnie inaczej. Mówi się o tym, że Petersen i jego pomocnicy prawie udusili kapitana i grozili, że wyrzucą go za burtę.

– Broń Boże! – zapewniła Maria. – Nic takiego się nie zdarzyło.

– Czy proces odbędzie się już jutro? – spytał pan Schade.

– Jutro trzeba będzie znaleźć dwanaście osób, które najpierw złożą przysięgę. Proces najprawdopodobniej odbędzie się pojutrze. Jak znam tutejszych ludzi, przyjdzie pewnie pół miasta. Takiej historii nikt nie chce przegapić.

– Wybaczcie – powiedziała zatroskana Maria – chciałabym już wrócić na statek. Na pewno tam na mnie czekają i martwią się, że jeszcze mnie nie ma.

– Oczywiście – zgodził się pastor. – Odprowadzimy panią na statek. Proszę powiedzieć obu więźniom, że będę ich bronił. I mimo iż się nie znamy, proszę przekazać ode mnie pozdrowienia.

– Myślę, że moja żona też zgodzi się, byśmy zostali w Baltimore do czasu procesu. Może pani liczyć na nasze wsparcie – zapewnił dziewczynę pan Schade. – A jak już będzie po sprawie, to zabierzemy

was na naszą farmę. To niedaleko stąd. Wszystko inne jakoś się ułoży.

– Właśnie, kochany mężu, sama chciałam to zaproponować – przytaknęła pani Schade. – Najwyraźniej potrafisz czytać w moich myślach.

– Zanim panią odprowadzimy, powinniśmy jeszcze postarać się o coś do jedzenia dla więźniów. Nie wiadomo, czy na statku dostaną jakiś posiłek.

PROCES

NASTĘPNEGO DNIA RANO Maria poprosiła jednego z marynarzy, by zawiózł ją łodzią na ląd. Miała się spotkać z państwem Schade. Pan Schade postanowił wykorzystać pobyt w mieście, by znaleźć kupca na towar ze swojej farmy. Poza tym chciał sprawdzić tegoroczne ceny zboża.

Maria natomiast zdecydowała, że w tym czasie uda się z panią Schade na poszukiwanie swojego bagażu, który już dawno temu powinien przybyć do Baltimore na pokładzie „Syreny”. Skrzynia, do której zapakowała w Kleinem szynkę i kiełbasy, musiała być w jednym z magazynów w porcie. Ale w którym?

Pani Schade mieszkała wprawdzie w Ameryce już od kilku lat, ale wciąż mówiła łamaną angielszczyzną. Mimo to zaczęła wszystkich dookoła, pytając o właściwy magazyn i wreszcie udało im się znaleźć to, czego szukały. Gdy znalazły się już na miejscu, trochę na migi wyjaśniła w jakim celu przyszły.

Pracownik, który z nimi rozmawiał zrobił zatroskaną minę. Wyglądało na to, że skrzynia dotarła, ale niestety... Mężczyzna kiwnął ręką na Marię i jej towarzyszkę, by poszły za nim. Zaprowadził je w odległy kąt magazynu. Rzeczywiście stała tam skrzynia Marii albo raczej to, co z niej zostało, gdyż deski były całkiem połamane. Maria podniosła uszkodzone wieko, które leżało na resztkach skrzyni. Pierwsze co dostrzegła, to była jej stara lalka. Po kiełbasach i słoninie zostało jedynie kilka skórek. Ubrania i pościel były pogryzione przez myszy i szczury. Ten widok wstrząsnął Marią – nie potrafiła powstrzymać łez. Nic nie zostało jej z dawnej ojczyzny – nic, prócz lalki. Ubranie, buty, wszystko było doszczętnie zniszczone. Gliniane naczynia potłukły się, garnek i sztuce zardzewiały.

Żałosny wygląd tego, co zostało z bagażu Marii zrobił wrażenie nawet na mężczyźnie pracującym w magazynie. Bardzo Marię za to przeproszał. Z jego wyjaśnień pani Schade udało się zrozumieć tyle, że skrzynia spadła przy wyładunku i połamała się. Wszystkie rzeczy starannie zebrano i złożono w magazynie. Nikt jednak nie pomyślał o

myszach i szczurach, których było tu przecież całe mnóstwo. Maria płakała żałośnie, tuląc do siebie lalkę, którą gryzonie dziwnym trafem zostawiły nietkniętą.

Pani Schade próbowała wyjaśnić całe zdarzenie, ale mężczyzna wzruszał tylko ramionami, dając jej do zrozumienia, że nie wie, o co chodzi.

– Mój mąż musi się tym zająć – zdecydowała kobieta.

– Dobrze zna angielski i postara się, by wypłacono wam odszkodowanie.

NADSZEDŁ DZIEŃ PROCESU. Pastor Strassheim nie mylił się. Rozprawa odbywała się w największej sali, by wszyscy chętni widzowie mogli zmieścić się w środku. Zainteresowanie procesem było tak ogromne, że na sali nie było ani jednego wolnego miejsca. Baltimore, miasto w stanie Maryland, w ciągu ostatnich stu lat przeżyło gwałtowny wzrost. W roku 1729 stał tu jedynie barak, później powstała mała wioska Johnstown licząca około 25 domostw. Około roku 1800 miasto nazywało się już Baltimore i liczyło około 10 tysięcy mieszkańców. W ciągu kolejnych trzydziestu lat liczba ta wzrosła do 20 tysięcy. Ilu ludzi mieszkało obecnie w Baltimore, nie wiedział nikt.

Z przodu sali, w półkołu, stało 12 stołów dla przysięgłych. Obok ustawiono krzyż, a przy nim dwie zapalone świece. Przygotowano również dwa krzesła dla oskarżonych. Zasiedli na nich kapitan Petersen i Karol.

Pomieszczenie wypełniał gwar prowadzonych w napięciu rozmów, które nagle przerwał gwałtowny gwizd. Do sali dostojnie wkroczyli przysięgli. Sędzia trzykrotnie uderzył młotkiem w blat stołu i w pomieszczeniu zapadła cisza.

– Obywatele Baltimore – rozpoczął sędzia – zebraliśmy się tutaj, aby zasądzić sprawiedliwość.

Maria nie rozumiała z jego przemowy ani słowa. Pan Schade, który usiadł pomiędzy nią a swoją żoną, tłumaczył jej cicho, co mówią na sali.

– Oskarżeni są: niemiecki kapitan, Tom Petersen, i przybyły z Niemiec Karol Urspruch. Obaj zwabili na pokład swojego statku amerykańskiego kapitana Gomeza, dowodzącego statkiem „Castella

Mare”. Następnie pobili go i uwięzili, a potem przejęli amerykański żaglowiec. W przypadku piractwa możliwe jest zastosowanie środków łagodzących, ale napad na statek i uwięzienie kapitana należy potraktować jak najsurowiej – pan Schade urywanym głosem tłumaczył dziewczynie słowa sędziego. – Czyn taki karany jest w naszym kraju w jeden tylko sposób – śmiercią przez powieszenie!

Posiedzenie zostało przerwane na dziesięć minut, aby oficjalnie stwierdzić obecność oskarżonych i ustalić obrońcę. Wezwani byli: pan Tom Petersen i pan Karol Urspruch. Ich obrońcą został pastor Wilson Strassheim, na co zebrani na sali zareagowali pełnym zdziwieniem szemranem. Słysząc było nawet kilka gwizdów dezaprobaty.

Kapitan Petersen wniósł również oskarżenie wobec kapitana Gomeza, który strzelił do niego w jego kajucie z zamiarem zabicia go lub osłabienia, tak by nie był zdolny do walki. Kapitan Gomez został ponadto oskarżony o odmówienie pomocy pasażerom statku „Ferdynand”.

Na sali zapanowała ogromna wrzawa. Sędzia zmuszony był wezwać na pomoc strażników pilnujących porządku na ulicy. Minęło sporo czasu, nim wzburzenie ucichło na tyle, aby można było proces kontynuować.

Petersen został poproszony o opowiedzenie tego, co wydarzyło się na „Ferdynandzie”. Kapitan mówił po angielsku. Pan Schade tłumaczył Marii i swojej żonie jego słowa. Karol nie miał tłumacza i nic nie rozumiał z tego, co działo się na sali. Petersen ze szczegółami opisał odmowę kapitana „Castella Mare”, by ratować pasażerów tonącego statku. Zademonstrował też, jak Gomez do niego strzelał z zamiarem jak najszybszej ucieczki z feralnego statku i skazania bezradnych pasażerów na pewną śmierć w odmętach oceanu.

Kapitan wyjaśnił także, że Karol Urspruch, który był jednym z pasażerów na „Ferdynandzie”, uniemożliwił ucieczkę Gomezowi, który następnie został uwięziony. Dodał również, że tylko Karol słyszał strzał z rewolweru Gomeza, a złapał kapitana po tym, jak on krzyknął, żeby zatrzymać drania, który nie chce pomóc innym w nieszczęściu. Dlatego Karol Urspruch jest niewinny, a przed sądem powinien odpowiadać...

Kiedy padło słowo „drań” na sali znów zawrzało. Petersen musiał

przerwać składanie zeznań. Sędzia po raz kolejny zmuszony był trzykrotnie uderzyć młotkiem w stół. Dopiero wtedy zrobiło się nieco spokojniej.

Następnie głos zabrał obrońca Wilson Strassheim, pastor niemieckiej parafii w Baltimore.

– Obywatele Baltimore! – pastor rozpoczął swoją przemowę od wzniosłych słów, trafiających do serc mieszkańców. – Obywatele Baltimore! Nasz wolny kraj założyli nasi ojcowie, którzy przybyli tu po to, by w spokoju wyznawać swoją wiarę. Wszystko, co myśleli i robili, opierało się na Słowie Bożym zapisanym w Biblii. Prawo naszego państwa oparte jest na Dekalogu. Zgadzacie się ze mną?

– Tak! – potwierdził entuzjastycznie zebrany na sali tłum.

– Znamy je wszyscy. Dziesięć przykazań, które Bóg dał Mojżeszowi na górze Synaj. Obowiązują po wsze czasy. Nikt nie ma co do tego wątpliwości. Dlatego znalazły się one w amerykańskiej konstytucji. Sądzę, że w tej kwestii też wszyscy się ze mną zgodzicie.

– Tak! – z sali znów słyhać było głosy aprobaty.

– Każdy prawy obywatel naszego kraju powinien więc mieć te przykazania zawsze na uwadze i zgodnie z nimi postępować. I wydaje mi się, że tak postępuje większość tu obecnych. Czyż nie? Albo przynajmniej stara się według nich żyć.

Na sali po raz kolejny rozległ się szmer przytakujących głosów.

– Bardzo mnie to cieszy, drodzy mieszkańcy Baltimore. Wygląda jednak na to, że nie wszyscy amerykańscy obywatele biorą sobie do serca Boże przykazania. Albo po prostu o nich zapominają. Myślę, że tak się stało w przypadku kapitana Gomeza, który na chwilę zapomniał o jednym przykazaniu. O którym przykazaniu mówię?

Wilson Strassheim przerwał na chwilę swoją wypowiedź.

– Które przykazanie mam na myśli? – pastor popatrzył wymownie na zebranych. – Większości z was jest ono dobrze znane. A brzmi: „Nie zabijaj!”. Pewnie wielu z was pomyślało: „On przecież nikogo nie zabił”. Istotnie, nikogo nie zabił, gdyż strzałem z rewolweru jedynie lekko zranił kapitana niemieckiego statku. To prawda. Ale nie o kapitana tutaj chodzi. Mówiąc to, mam na myśli dwustu pasażerów i załogę „Ferdynanda”, który ostatecznie zatonął. Ich wszystkich zabiłby kapitan

Gomez, obywatel amerykański, nie zwracający zupełnie uwagi na amerykańskie prawo, gdyby uciekł z ich statku i zostawił samych sobie.

Na sali zapadła przeraźliwa cisza.

– Ci dwaj dzielni mężczyźni, tak naprawdę uchronili amerykańskiego kapitana. Dzięki nim, nie ściągnął on na siebie ciężkiej winy. Dzięki nim, nie przekroczył prawa Bożego. Musieli zrobić to siłą... Ale dopięli swego.

Pastor Strassheim otarł twarz chusteczką.

– A my? Zamiast dziękować im za bohaterski czyn, stawiamy ich przed sądem i zastanawiamy się, czy nie powiesić ich za napad na statek. Czy to się dzieje naprawdę? Tych dwóch mężczyzn – Strassheim demonstracyjnie wskazał na Karola i Petersena – zachowało się bardziej po amerykańsku niż amerykański kapitan.

Zebrani wciąż jeszcze wsłuchiwali się w słowa Strassheima. obrońca jednak patrzył już na przysięgłych.

– Panowie przysięgli, wydajcie zatem wyrok! To wasze zdanie zdecyduje, kto zachował się zgodnie z Boskimi przykazaniami i prawem amerykańskim, a kto nie. Abyście mieli czas na naradę, proponuję zarządzić przerwę i wznowić posiedzenie jutro.

W sali zrobiło się bardzo głośno. Przysięgli naradzali się, chodzili po sali w tę i z powrotem, wymieniali opinie. W końcu podjęli decyzję. Panujący w pomieszczeniu gwar jeszcze się wzmógł. Aby uspokoić zebranych, sędzia musiał kilkakrotnie uderzać młotkiem w stół.

– Obywatele Baltimore! – krzyknął zdenerwowany sędzia do tłumu na sali. – Czy sądzicie, że waszym niegodnym tego miejsca zachowaniem wpłyniecie na wyrok sądu? Otóż nie! Tutaj decydują przysięgli, którzy zgodzili się z wnioskiem obrońcy. Zamykam posiedzenie do jutra!

Od tej chwili Petersen i Karol mogli swobodnie poruszać się po mieście. Pastor Strassheim musiał jednak zagwarantować, że nie uciekną i następnego dnia punktualnie stawią się w sądzie. Zrobił to z dużą przyjemnością. Kapitan był bardzo zmęczony, nie spał od wielu godzin. Udał się więc do domu Strassheima, gdzie opiekę nad nim przejęła żona pastora. Natomiast Maria i Karol wraz z pastorem i państwem Schade poszli po południu do magazynu, w którym przechowywana była

skrzynia Marii. Pojawienie się w tym miejscu pastora, znanego i szanowanego obywatela Baltimore, wzbudziło szczere zdziwienie. Mężczyzna, który pilnował magazynu wstał natychmiast, by go przywitać.

Wilson Strassheim rozmawiał z nim długo. Następnie zwrócił się do Marii i zapytał ją, czy ma potwierdzenie ubezpieczenia bagażu.

– Nic o tym nie wiem – odpowiedziała zdziwiona Maria. – Mój ojciec na pewno nie ubezpieczył bagażu. Z woreczka, który miała na szyi, wyciągnęła kilka kartek, wśród których była też umowa. Szybko sprawdziła jej treść. Nie było tam jednak nic na temat ubezpieczenia.

– Pośrednik w Kassel nie powiedział nam, że bagaż można ubezpieczyć – przyznała z żalem Maria. – Ale nie sądzę, by mój ojciec się na to zgodził, nawet, gdyby o tym wiedział. Szkoda by mu było pieniędzy.

– W takim razie nic nie możemy zrobić – pastor Strassheim wzruszył ramionami.

– Ja też miałem bagaż na „Syrenie” – odezwał się Karol. – Lniany worek z ubraniami. On też powinien być gdzieś tu w magazynie.

Pan Schade przetłumaczył słowa Karola, ale pracownik magazynu nie przypominał sobie takiego bagażu.

– Nie – powiedział – żadnego worka nam nie przyniesiono. Jestem tego pewny. Osobiście nadzoruję wszystko, co jest tu wnoszone i wynoszone.

– Co w takim razie stało się z moim workiem? – zapytał Karol.

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na jego pytanie.

– Zapytam jeszcze u przewoźnika – dodał mocno zmartwiony nadzorca. – Niektóre umowy zawierają ubezpieczenie bagażu. Dowiem się, czy tak było w tym przypadku. Jeśli okaże się, że należy się wam odszkodowanie, gdzie mam je wysłać?

Pan Schade zaproponował uprzejmie, by podać ich adres, skoro Karol i Maria na pewien czas zatrzymają się u nich. Pracownik magazynu starannie zapisał adres.

– To wszystko na nic – westchnęła Maria.

– Może to i lepiej – stwierdził pastor. – Wygląda na to, że nic nie będzie wam tu przypominać o starej ojczyźnie.

Maria wzięła Karola za rękę i powiedziała z nadzieją w głosie:

– Straciliśmy wprawdzie nasz bagaż, ale przecież mamy siebie! I mamy moje pieniądze. To wystarczy dla nas i dla dziecka.

– Moje oszczędności też mam przy sobie – oznajmił Karol. – Jest ich niemało.

– Chcieliście przecież kupić ziemię i założyć gospodarstwo, nieprawdaż? – upewniała się pani Schade. – Pieniądze bardzo się wam przydadzą.

– Zaczekajmy z tym do jutra, aż Karol zostanie oczyszczony z zarzutów – zaśmiał się wyraźnie rozbawiony Wilson Strassheim. – Potem pomyślimy o gospodarstwie. Musicie tylko przedtem wymienić niemieckie pieniądze na walutę amerykańską.

NASTĘPNEGO RANKA WSZYSCY punktualnie stawili się w sądzie: oskarżeni, przysięgli oraz widzowie. Nie było jedynie kapitana Gomeza. Po półgodzinnym oczekiwaniu sędzia postanowił wysłać posłańca, by ten przyprowadził oskarżyciela. Niestety, o tej porze port spowiła gęsta mgła i „Castella Mare” była niewidoczna. Posłaniec wrócił bez kapitana. Wszyscy obecni czekali, coraz bardziej zniecierpliwieni.

Po godzinie mgła się podniosła. W słońcu wyraźnie widać było miejsce, gdzie jeszcze wczoraj zacumowany był statek kapitana Gomeza. Teraz miejsce to było puste! Gomez i „Castella Mare” zniknęli. Czyżby oskarżyciel uciekł?

Kiedy sąd potwierdził, na podstawie faktów, że Gomez opuścił port pod osłoną nocy, wszyscy byli oburzeni. Wyrok przysięgłych był jednogłówny: „Wolność dla kapitana Toma Petersena i Karola Ursprucha”.

Obaj mężczyźni zostali uznani za bohaterów, a zebrany tłum zaczął wiwatować na ich cześć. Jedna Amerykanka nawet oświadczyła się kapitanowi tuż po ogłoszeniu wyroku.

– Czy ciebie też tutejsze kobiety już mają na oku? – spytała Maria, gdy się o tym dowiedziała. – Jestem jednak pewna, że nie chciałbyś żadnej Amerykanki. Jedyne Marię Ruppertównę z Kleinern.

Chłopak nic nie odpowiedział, tylko mocno przytulił Marię.

Petersen był zszokowany tymi niespodziewanymi oświadczeniami.

Dostał też inną propozycję, bardzo intratną: miał przejąć dowodzenie na statku handlowym pod banderą amerykańską, na co zgodził się bez chwili namysłu.

NA FARMIE

WIECZOREM MARIA i KAROL oraz państwo Schade zostali zaproszeni na kolację do pastora Strassheima. W rozmowie z żoną pastora pomagał im pan Schade, gdyż pani Strassheim była Amerykanką i nie znała niemieckiego.

– Zabieramy tych dwoje młodych do siebie – powiedział pan Schade. – Jest u nas kilku pośredników, którzy sprzedają ziemię. Na pewno coś się dla nich znajdzie.

– I wreszcie będziemy mieli swoje własne cztery kąty – ucieszyła się Maria. – Musimy zatroszczyć się o dom dla naszego dziecka.

Pani Strassheim upiekła dla gości ciasto z mąki kukurydzianej, którą miejscowi nazywali – *Indian corn*. Smakowało wprawdzie zupełnie inaczej niż ciasto drożdżowe, które znali z rodzinnych stron, ale było smaczne.

Po kolacji gospodarze zaprosili gości do swego pięknego ogrodu. Rozciągał się z niego wspaniały widok na Baltimore i port. Zapadał zmierzch i w mieście powoli zapalano światła. Z pełnym podziwu milczeniem Maria i Karol wpatrywali się w ten niezwykły widok. Czegoś takiego jeszcze nigdy dotąd nie widzieli.

– Piękny jest ten kraj, do którego przybyliśmy – powiedziała Maria, biorąc Karola za rękę. – Ale mogłabym mieszkać wszędzie, nawet na pustyni, bylebym tylko mogła mieć cię przy sobie.

Karol nic nie odparł, tylko westchnął ciężko.

– Co tobie jest, kochany? – spytała Maria. – Prawie już dotarliśmy do celu. Tutaj możemy spokojnie żyć i nikt nie będzie wytykał nas palcami. Pobierzmy się wreszcie, byśmy mogli żyć jak mąż i żona, by nasze dziecko mogło nosić twoje nazwisko. Pastor Strassheim na pewno nas pobłogosławi.

– Kochana, wszyscy tu są przekonani, że od dawna jesteśmy małżeństwem. Dziecko i tak będzie mogło nosić moje nazwisko. Nikt nie będzie prosił nas o dokumenty. Przecież nasz statek zatonął!

– Ale dla mnie to bardzo ważne, Karolu. Chcę być twoją żoną.

– Nie możesz, Mario. Jesteś moją siostrą...

– Wcale się tak nie czuję. Chcę być twoją żoną, należeć do ciebie i tylko do ciebie.

– Ja widzę to inaczej. Kocham cię, jak nikogo innego na świecie. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Ale odkąd wiem, że jesteśmy bratem i siostrą, nie potrafię też myśleć o tobie jak o mojej żonie.

– Z czasem to się zmieni – powiedziała dziewczyna z przekonaniem. – Niech najpierw urodzi się nasze dziecko.

Następnego dnia wczesnym rankiem państwo Schade, Maria i Karol opuścili gościnny dom pastora. W drogę udali się dyliżansem, który bardziej jednak przypominał zadaszony wóz. Tutejsze drogi były w oplakany stanie. Po prostu były to zwykłe trakty wyrąbane w lesie. Błotniste miejsca zasypane były kamieniami, tak by wozy mogły jeździć po nich bez przeszkód. Państwo Schade mieszkali dwieście mil na północny zachód od Baltimore.

– Mówiliście, że wasza farma jest w pobliżu Baltimore – upewniała się Maria.

– W tym ogromnym kraju dwieście mil to niewiele. W tydzień na pewno dojedziemy na miejsce.

Dotarcie do farmy państwa Schade rzeczywiście zajęło im siedem dni. Dwóch dorastających synów i dwie młodsze córki już od dawna czekały na powrót rodziców. Dzieci niecierpliwiły się tym bardziej, że mieli oni przywieźć ze sobą babcię, która pochodziła z dalekich Niemiec. Wnuki były bardzo rozczarowane wiadomością, że ich babcia zmarła podczas podróży statkiem. Maria musiała kilka razy opowiadać im, jaka była pani Blasing.

Karol chcąc dowiedzieć się od pana Schade jak najwięcej, wypytywał go o to, jak zakładał swoją farmę.

– Kiedy tu przyjechaliście?

– W lecie, przed ośmiu laty – odpowiedział skrupulatnie pan Schade. – Chłopcy byli wtedy mali, dziewczynek jeszcze nie było na świecie. W tym miejscu rósł jedynie las, wysokie drzewa, z których wiele zostawiliśmy.

– One przecież obumarły – zauważył Karol.

– I dobrze. Były tak grube, że nie potrafiłem ich ściąć. Dlatego na każdym siekierą odrąbałem wokół pnia pas kory szeroki na trzy stopy.

Drzewo szybko wtedy obumiera. Niektóre z nich już się wywróciły. Inne, które tu jeszcze stoją, już od lat są suche. One też się wywrócą jesienią albo na wiosnę, kiedy nadejdą silne burze. Wtedy je porąbamy i będziemy mieli drewno na opał. W ten sposób znów powiększymy nasze pole. Będzie łatwiej je uprawiać.

– Zbudowaliście wasz dom z bali. Jest bardzo solidny. Mój też tak zbuduję.

– Potrzebne będą wam do tego długie i mocne bale z twardego drewna. Musicie porąbać je na kawałki równej długości. Cztery najtwardsze bale trzeba ułożyć w czworobok, a ich końce nałożyć na siebie. Rzecz jasna, w odpowiednich miejscach należy zrobić nacięcia oraz tzw. siodła, by końcówki bali na siebie zachodziły. Wówczas dom będzie stabilny.

– Rozumiem. I tak samo kładzie się następne bale i następne... Aż ściany będą wystarczająco wysokie...

Jeszcze jakiś czas mężczyźni rozmawiali o budowie domu, potem Karol zapytał o to, jak się tu gospodaruje.

– Wasze pole jest ogrodzone. Dlaczego? – dopytywał się chłopak.
– U nas w Kleinem pola nigdy nie były grodzone. Nie pamiętam tego.

– Tutaj jest inaczej – odparł Schade. – W lasach jest pełno jeleni i saren. Wszystko by wyjadły. Ogrodzenie dlatego jest tak wysokie, żeby dzikie zwierzęta nie mogły go sforsować.

– To rzeczywiście problem. Przede wszystkim jednak widzę, że najpilniej to będę potrzebował siekierę i piłę.

– Tak. To na początek wam wystarczy. Ale będą wam też potrzebne zwierzęta pociągowe. No i musicie mieć wóz i zapas pożywienia na pierwszą zimę.

– A co z narzędziami do pracy w polu?

– Potrzebny wam będzie mały pług, ale też sierpy, grabie i motyki. Musicie także pomyśleć o kuchni, ale w tej sprawie moja żona na pewno wam coś doradzi.

MARIA WESZŁA z panią Schade do domu.

– Nie macie dużo sprzętów – powiedziała dziewczyna, rozglądając się po izbie.

– Na początek wystarczy – uśmiechnęła się pani Schade.

W izbie było kilka miejsc do spania oraz ława i stół.

Oprócz tego przy ścianie stało kilka beczek. Przechowywano w nich mąkę, sól i inne potrzebne zapasy. Przy piecu piętrzyły się poukładane równiutko naczynia kuchenne i talerze.

– Co tam wisi przy kominie? – zapytała Maria.

– Szynka z jelenia. Mój mąż sam go ustrzelił.

Pani Schade z dumą pokazała Marii strzelbę zawieszoną na ścianie.

„Jak dobrze, że Karol służył w wojsku – pomyślała Maria. – Na pewno nauczył się tam, jak się strzela.”

PO DNIU ODPOCZYNKU Karol chciał rozejrzeć się po okolicy. Planował znaleźć kawałek ziemi dla siebie.

– Jeśli mam zbudować dom przed zimą, nie mam ani chwili do stracenia! – powiedział do swego dobroczyńcy.

Pan Schade w pełni się z nim zgadzał. Obaj mężczyźni udali się do pośrednika, który sprzedawał ziemię. Dwa dni później wrócili, a Karolowi udało się kupić duży kawałek pola.

– Jest o wiele większy niż nasze gospodarstwo w Kleinem. To jest podobno las, ale daleko stąd – wyjaśnił Marii.

– Wystarczyło ci pieniędzy?

– Tak. Jeszcze nawet trochę zostało. Ziemia jest na zachodzie, dlatego kosztuje mniej.

– To ruszajmy w drogę!

– Nie wyślesz listu do Kleinem? Ojciec prosił, żebyś napisała, jak już dotrzemy na miejsce.

– Tak, oczywiście. Napiszę do ojca. Zaraz zapytam o papier.

Pani Schade przyniosła papier listowy i podała go dziewczynie. Maria usiadła przy stole i opisała ojcu swą podróż do Ameryki. Nie wspomniała jednak ani o Karolu, ani o zatonięciu statku. Poprosiła ojca, by napisał do niej i podała adres farmy państwa Schade. Przekażą jej list, kiedy ona i Karol zadomowią się już w nowym miejscu. Na razie wiedziała tylko tyle, że ziemia, którą kupili leży na zachód od rzeki Missouri.

PO KILKU DNIACH pobytu młodych w domu państwa Schade kobiety bardzo się zaprzyjaźniły i zaczęły mówić do siebie po imieniu. Pani Schade zaproponowała Marii, że pojedzie razem z nią do sklepu:

– Doradzę ci, co będzie potrzebne i co powinnaś ze sobą zabrać.

– Och, to bardzo miłe, dziękuję! Ale czy to nie będzie dla ciebie problem, droga Elisabeth? – spytała Maria.

– Dadzą tu sobie radę beze mnie przez te kilka dni. Na zbiory na pewno wrócimy.

– Najchętniej pojechałbym z wami i pomógł wam przy budowie domu, ale to czas zbiorów, więc nie dam rady – wyznał z żalem pan Schade.

– Nie moglibyśmy się na to zgodzić – uspokoił go Karol.

– Ale zamiast mnie może pojechać z wami mój syn Wilhelm. On wam też pomoże potem przy budowie domu. Ma własnego konia, więc będzie mógł sam tu wrócić. Wilhelm bardzo na to liczy. Nie może się doczekać, by pojechać z wami i zobaczyć przy okazji kawałek świata. Zgadzacie się?

DWA DNI PÓŹNIEJ młodzi mieli już wszystko co konieczne, by założyć farmę. Karol kupił solidny wóz i silnego konia. Na wozie był pług, różne narzędzia i gwoździe, sprzęt rolniczy, mąka kukurydziana, sól i strzelba. Zapakowany był także prosty sprzęt kuchenny, kociołek, oraz nasiona. Było też zawiniątko z pieluchami i chustami dla dziecka, którego oczekiwali.

Pożegnanie z państwem Schade było pełne wzruszeń.

– Droga Elisabeth – powiedziała uroczyście wzruszona Maria, nie potrafiąc powstrzymać łez – dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

– I ja ci dziękuję za wszystko, co uczyniłaś dla mojej matki. Za to, że przywiozłaś mi prezent od niej.

Mężczyźni nie mówili wiele.

– Wilhelm na pewno bardzo wam pomoże. Zobaczycie, jesienią będziecie mieć solidny dom, w którym bez problemu przetrzymacie zimę. Nie będę się musiał o was martwić.

NOWY DOM

MARIA I KAROL WYRUSZYLI na zachód. Droga była utwardzona, gdzieś tam poprzecinana niewielkimi mostami. Podczas podróży nigdzie nie napotkali gospody, dlatego nocowali na farmach, które mijali po drodze. Nocleg na farmie kosztował pół dolara za noc. Pewnego dnia dotarli do ogromnej rzeki, dużo szerszej niż dobrze im już znana Wezera. To była Missisipi. Początkowo nie wiedzieli, jak mają się przeprawić. W końcu za niewielką opłatą statek przewiózł ich na drugi brzeg.

Karol i Wilhelm zaprzyjaźnili się po drodze. Chłopak opowiadał Karolowi, co w Ameryce jest inne niż w ich rodzinnym kraju. By nie męczyć zanadto konia, Maria większość drogi pokonywała pieszo. Czasem, gdy teren był równy, siadała na wozie i podjeżdżała kawałek. Karol zazwyczaj szedł obok. Gdy droga wiodła pod górę, Wilhelm przypinał do wozu także swojego konia, wtedy mogli iść nieco szybciej.

Po wielu dniach podróży wreszcie dotarli na miejsce, choć Maria już dawno straciła poczucie czasu. Przed nimi rozciągała się malownicza, porośnięta drzewami dolina. Farma znajdująca się u wejścia do doliny należała do pośrednika. Karol poszedł do niego i pokazał mu umowę kupna. Całe szczęście, że był z nimi Wilhelm, bo człowiek ten mówił tylko po angielsku. Po dopełnieniu formalności zaprowadził nowych mieszkańców na ich ziemię.

Maria i Karol byli bardzo ciekawi swojej posiadłości, która, jak przypuszczali, składała się głównie z drzew i krzewów. Z zainteresowaniem rozglądali się dookoła. Przez dolinę przepływał niewielki strumień, o wodę więc nie musieli się martwić.

– Waszymi sąsiadami są osadnicy z Anglii i Irlandii – powiedział Wilhelm. – Pośrednik mówił, że tutaj w okolicy tylko wy jesteście z Niemiec.

– Z każdym się dogadamy – stwierdziła Maria. – Nawet jeśli na początku będzie nam trudno się porozumieć.

Wilhelm i Karol poszli szukać miejsca, na którym będą mogli postawić dom. Nie może być zbyt blisko strumyka, bo wiosną poziom

wody może się podnieść. Ale nie może też być za daleko, by Maria nie miała problemu z noszeniem wody. Wkrótce znaleźli niewysoki pagórek w pobliżu strumyka. Podłoże było w tym miejscu stabilne i idealnie nadawało się na budowę domu. Karol nie czekając ani chwili z zapalem zaczął usuwać motyką rosnące w tym miejscu krzaki.

Pośrednik zostawił ich samych, obiecał jednak, że niebawem przyjdzie znów. Po jakimś czasie wrócił, a wraz z nim przybyli inni mieszkańcy doliny. Sąsiadami Karola i Marii były głównie młode małżeństwa. Wszyscy mieszkali w pobliżu, jednak ich domy zasłaniały rosnące dookoła drzewa. Większość z nich wybudowała już swoje domy i ogrodziła pola. Niektórzy posadzili nawet kukurydzę. Wszyscy serdecznie witali nowych osadników.

Wilhelm przekazał Marii i Karolowi wiadomość, że następnego ranka przyjdą do nich mężczyźni z sąsiedztwa z siekierami. Pomogą im wyrąbać drzewa potrzebne do budowy domu. To przyjazne przyjęcie przez miejscowych i gotowość do pomocy zrobiły na obojgu wielkie wrażenie. Najwyraźniej na tym pustkowiu wszyscy muszą trzymać się razem. Pierwszą noc cała trójka spędziła na wozie, z którego wcześniej wyładowali wszystkie przywiezione narzędzia i sprzęty.

RANKIEM, ZGODNIE Z ZAPOWIEDZIĄ, zjawili się sąsiedzi. Mówili niewiele. Sami wyszukiwali i ścinali odpowiednie drzewa. Doskonale wiedzieli, co należy robić, i nie tracili ani chwili. Konie zwoziły na plac budowy pocięte już na odpowiednią długość drewno. Gdy zebrano wystarczająco dużo bali, można było zacząć budowę. Wszyscy pracowali intensywnie aż do zmierzchu. Ściany domu właściwie były gotowe, a następnego dnia można było zacząć kłaść dach.

Nazajutrz wszyscy ponownie przybyli, by pomóc w dalszej budowie. Kilka kobiet odwiedziło Marię. Jej ciąża była już zaawansowana i dziewczyna niewiele mogła robić. Wieczorem dom przykryty był już solidnym dachem, który miał chronić dom i jego mieszkańców. Nie mogli jednak jeszcze się wprowadzić, gdyż w konstrukcji brakowało drzwi.

Trzeciego dnia Karol i Wilhelm wyrąbali siekierami wejście w

przedniej ścianie domu. Było niskie. By do niego wejść, trzeba się było pochylić. Drzwi zbili z niewielkich, choć solidnych żerdzi. Pośrednik miał jeszcze zapas żelaznych zawiasów, mogli więc od razu zawiesić drzwi. Obaj mężczyźni zdecydowali, że dom na razie nie będzie miał okien. Zimą wnika przez nie do wnętrza chłód, który może być niebezpieczny dla małego dziecka.

Pośrednik poradził im, by do budowy komina wykorzystali glinę, której nad strumieniem było pod dostatkiem. W czasie, gdy Karol i Wilhelm zajęci byli pracą przy kominie, Maria upychała mchem i gliną szpary między pniami. Miała nadzieję, że dom będzie szczelny. Komin był gotowy jeszcze tego samego dnia, ale uprzedzono ich, że będą go mogli używać dopiero wówczas, gdy glina zupełnie wyschnie.

Teraz nic już nie stało przeszkodzie, by młodzi wprowadzili się do swojego nowego domu! Karol zrobił z bali dwa posłania, drewniane ramy położył na ziemi i wypełnił je sianem i liśćmi. Tu będą spać. Na środku pokoju ustawili prosty, nieheblowany stół, zbity z ociosanych kawałków drewna. Do siedzenia służyć im miały dwa niewysokie pnie. Na ścianie, obok paleniska, Karol zawiesił deskę na naczynia i sprzęt kuchenny. Z domu rodzinnego Marii udało się dowieźć na miejsce jedynie lalkę. Umieściła ją na swoim łóżku, by przypominała jej rodzinne strony. Obok niej położyła Biblię pani Blasing. Miała ona dla niej szczególną wartość.

CODZIENNOŚĆ

MARIA i KAROL ZACZĘLI wspólne życie. Dziewczyna zbierała w lesie jagody i odwiedzała najbliższych sąsiadów, do których drogę miała oznaczoną nacięciami na drzewach. Kobieta z sąsiedztwa zawsze częstowała ją różnymi smakołykami, choć czasami ich smak był Marii zupełnie nieznany. Nie mogły ze sobą rozmawiać, starały się jednak porozumiewać za pomocą gestów.

Prace przy budowie zakończyły się, więc Wilhelm Schade udał się w drogę powrotną do domu. Zawiózł rodzicom dobrą wiadomość, że wszyscy szczęśliwie dotarli na miejsce, a Maria i Karol mają teraz swój własny dom. Przed wyjazdem Wilhelm zapisał im jeszcze na kawałku drewna adres farmy jego rodziców – tak na wszelki wypadek.

Większość czasu Karol spędzał na wycinaniu krzewów porastających teren wokół domu. Związywał je i układał, by wyschły. Ścinał też mniejsze drzewa i rąbał drwa na opał. Na kilku polanach w lesie przygotował siano dla konia. Oгородził też ich pole i zbudował szopę, która w zimie miała być schronieniem dla konia. Chodził też na polowania, by zdobyć świeże mięso i przygotować zapasy na zimę.

Maria wyczekiwała już rozwiązania. Poruszała się z coraz większym trudem, i coraz więcej czasu spędzała w domu. Karol zwykle pracował na zewnątrz. Coraz częściej Maria sięgała po Biblię. Czytanie jej fragmentów uspokajało ją i dodawało otuchy.

W ich wspólne życie znów niepostrzeżenie wkradło się pytanie o to, jak będzie wyglądać ich przyszłość. Maria często obserwowała Karola przy pracy. Z miłością patrzyła na jego szczupłą, wysoką postać, lekko pofalowane blond włosy, silne mięśnie, wyraźnie widoczne, kiedy Karol pracował bez koszuli w pełnym słońcu późnego lata. Przyglądała się jego jasnoniebieskim oczom i delikatnym, choć coraz bardziej męskim rysom twarzy. Jakże był dzielny na „Ferdynandzie”! Ale i wcześniej, w domu! Nie opuścił jej, kiedy wyszło na jaw, że są rodzeństwem i obiecał, że nigdy nie zostawi ani jej, ani dziecka, które już niedługo przyjdzie na świat.

„Karol jest nie tylko przystojny, ale ma też piękną duszę! –

pomyślała Maria. – On jest tym mężczyzną, jakiego zawsze pragnęłam. O takim ojcu dla moich dzieci marzyłam, kiedy jeszcze bawiłam się moją lalką.”

Przypomniła sobie, jak czasem do kryjówki w żywopłocie zabierała swoją lalkę i bawiła się tam w dom. Domem był żywopłot, a ona była mamą, która z małym dzieckiem czekała na powrót męża i ojca. Ten istniał jedynie w jej wyobraźni, ale dziś jeszcze pamięta, z jaką radością go witała, obejmowała i całowała. Jej lalka też radośnie wybiegała, by uściskać powracającego...

„To jest teraz mój żywopłot. To odludzie tutaj w Ameryce – rozmyślała. – Ten dom jest nawet do niego podobny. Wszystko jest takie, jak sobie wymarzyłam. Jedynie ta tęsknota... Mogę tylko przyglądać mu się z daleka. Nic więcej nie może się wydarzyć...”

Nie jeden raz próbowała zbliżyć się do Karola. Tak bardzo chciała, by był blisko niej. Szczególnie teraz, kiedy spodziewała się narodzin dziecka i czuła się taka bezbronna. Obejmowała go, głaskała, próbowała zatrzymać przy sobie. Zauważyła, że przyspieszał wtedy jego oddech, gdy go dotykała. Ale Karol natychmiast wyrывał się z jej objęć. „Zostaw mnie Mario! – z trudem wydobywał z siebie głos. – Jeśli teraz się zapomnę, na zawsze stracę do siebie szacunek!” Wybiegał z domu, chwycił motykę i zawzięcie wykopywał rosnące dookoła krzaki.

„Wszystko się zmieni, kiedy urodzi się dziecko” – uspokajała samą siebie Maria.

Czytała wciąż Biblię, którą dostała od pani Blasing. Nie była to wcale taka obca księga. Niektórych wersetów uczyła się przecieź na pamięć, przygotowując się do konfirmacji. Wiele historii знаła z opowieści zasłyszanych w dzieciństwie. Żona pastora organizowała wówczas w Kleinem niedzielne spotkania dla dzieci. Sporo fragmentów czytała jednak po raz pierwszy.

Plagi, które Bóg zesłał na Egipt, przejście przez pustynię mają jedno przesłanie: „Bóg troszczy się o tych, którzy zawierzają Mu wszystko. Dla każdego znajduje właściwą drogę.” Tak śpiewały też żegnające ją dzieci: „Ten, który prowadzi wiatr jego drogami i twoją drogę znajdzie, nie jesteśmy sami.”

Rzeczywiście znalazła drogę, którą mogła iść. Ale to nie była

dobra droga. To droga w samotności. Szła z Karolem, ale daleko od niego. Nie chciała tak przeżyć całego życia! Nie mogła... A Karol?

„Boże dlaczego pozwoliłeś, bym tak bardzo pokochała Karola? Dlaczego sprawiłeś, że i on zapalał do mnie uczuciem? Pozwoliłeś na to przecież. Wiedziałeś, że jesteśmy rodzeństwem. Wszystko byłoby inaczej, gdyby... Chociaż właściwie nie wyobrażam już sobie, że mogłabym nie kochać Karola. I nie chcę, żeby on przestał mnie kochać. Wszystko jest takie zagmatwane! Dobry Boże, modłę się do Ciebie, ale to i tak na nic. Karol jest moim bratem, tego już nie zmienisz.” – Maria modliła się do Boga gorąco, i choć w głębi jej serca tliła się nadzieja, to po policzkach spływały łzy. Łzy żalu i osamotnienia...

NARODZINY

– WIESZ MARIO, co mi się śniło? – powiedział pewnego ranka Karol. – Nasze dziecko urodziło się z rudawymi loczkami.

– Z rudawymi loczkami? Skąd niby miałyby je mieć? Może mieć ciemnoblonde jak moje włosy albo jasnoblonde jak twoje. Ale rudawe?

– Tak tylko mi się śniło – odparł Karol nieco zawstydzony. – Nie można być odpowiedzialnym za swoje sny. Ale widziałem to bardzo wyraźnie.

Maria czuła, że czas rozwiązania był bardzo bliski, prosiła więc Karola, by nie oddalał się od domu. W domu jednak wolała być sama. Kiedy Karol usłyszał jej krzyki i jęki, pobiegł co sił po pomoc do sąsiadki mieszkającej nieco dalej w dolinie. Gdy oboje dotarli do domu, Maria trzymała już w ramionach chłopczyka. Sąsiadka przecięła tylko pępowinę, zajęła się też Marią i wykąpała dziecko.

Mały naprawdę miał rudawe loczki. Urodził się z całą burzą loków na głowie. Karol ostrożnie wziął syna na ręce. Kiedy patrzył na tę delikatną, jeszcze nieco pomarszczoną twarzyczkę, łzy napłynęły mu do oczu.

– Maleńki – powiedział z czułością – to z twojego powodu przybyliśmy do tego kraju. Abyś mógł swobodnie oddychać, żyć w wolności, by inni ludzie cię szanowali. I oto jesteś. Witamy cię całym sercem! Maria nie chciała przerywać pierwszej rozmowy ojca z synem, lecz w końcu rzekła.

– Karolu, nasz syn powinien dostać imię. Gdyby to była dziewczynka, chciałabym nazwać ją Elisabeth, jak pani Schade, która tak wiele dobrego dla nas uczyniła. Ale naszemu synowi nadałabym chętnie imię pastora z Baltimore, który cię bronił przed sądem. Co powiesz na to, gdyby nasz syn nazywał się Wilson? Zgadzasz się? Wilson Karol oczywiście, ale mówilibyśmy na niego Wilson.

– Nie myślałem jeszcze właściwie o imieniu dla naszego dziecka. Ale Wilson brzmi nieźle. Jak prawdziwy Amerykanin. Nasz syn jest już przecież Amerykaninem.

INDIANIE

MAŁY WILSON CHOWAŁ SIĘ wspaniale. Nie było w tym nic dziwnego, wszak od pierwszych dni życia otoczony był miłością i troską. Maria karmiła go piersią tak długo, jak było to możliwe.

Jesienią w dolinie dało się odczuć ogromne poruszenie, gdyż w pobliżu pojawili się Indianie. Czy uważają las za swoją własność? Nikt nie wiedział, jak jest naprawdę. Na wszelki wypadek angielscy i irlandzcy osadnicy ostrzelali miejsce, gdzie widziano „czerwonoskórych”.

– Dlaczego wszyscy strzelają do Indian? – spytała Maria, gdy Karol wyjaśnił jej powód strzałów w dolinie.

– Też tego nie rozumiem. Oni uważają, że to nie są ludzie, tylko dzikie zwierzęta.

– Ale oni wyglądają jak ludzie.

– Oczywiście. Tylko po swojemu się ubierają.

– Karolu, czy ty też chcesz strzelać do Indian?

– Ja? Jak mogłaś tak pomyśleć?

– Wcale tak nie myślę. Nie mogłabym sobie tego nawet wyobrazić.

– Nasi sąsiedzi zachowują się tak, jakby Indianie byli bardzo niebezpieczni.

– Na pewno będą, gdy poczują się zagrożeni.

Kiedy Wilson zasypiał, Maria zajmowała się domem.

Wszystkie prace domowe zawsze wykonywała szybko i sprawnie, obojętnie czy było to sianie łóżek, mycie naczyń po posiłku, czy pranie pieluch Wilsona. Poza tym spacerowała ze swoim synem po lesie i od czasu do czasu odwiedzała sąsiadów. Gdy zaczynała się nudzić, czytała Biblię. To jedyna książka, jaką miała w domu. Wciąż natrafiała na miejsca, gdzie była mowa o miłości i dobroci, jakimi Bóg obdarza ludzi. Ale to nie miało dla niej znaczenia. „Akurat... dobroć i miłość! – powątpiewała. – Bóg nie zmieni tego, że Karol jest moim bratem! Nie potrafię tak wychwalać Boga za Jego troskę, jak niektóre psalmy.”

JESIEŃ ZAPANOWAŁA JUŻ na dobre. Słońce było coraz niżej i

potrzebowało więcej czasu, by przegonić poranną mgłę. Karol zdążył przygotować spory zapas drewna na zimę. Musiało być go tyle, by wystarczyło aż do wiosny. Drewno wciąż było wilgotne, ale udawało się je rozpaść. W całej izbie było wtedy jednak mnóstwo gryzącego dymu, który bardzo powoli uchodził przez komin. Maria suszyła więc drewno w jednym kącie izby. W zimie trzeba będzie je przynosić do domu wcześniej, żeby mogło suszyć się przez kilka dni. Obok komina wisiało wiele plastrów posolonego i uwędzonego mięsa dzikich zwierząt, beczka z mąką kukurydzianą była pełna, zasuszone były owoce, jagody i grzyby. Maria nie obawiała się zimy. Martwiła się jedynie o ubranie. W okolicy nie można było kupić żadnego płótna ani wełny. Sąsiedzi robili sobie odzienie ze skóry, takie, jakie nosili Indianie.

Pewnego październikowego dnia Maria wzięła dwie skóry z jelenia i razem z synkiem poszła do sąsiadki. Chciała nauczyć się garbować skóry tak, by były gładkie i by można było uszyć z nich ubranie. Sąsiadka powiedziała jednak, że zanim pokaże jej, jak należy postępować ze skórami, najpierw Karol musi ustrzelić jeszcze jednego jelenia. To nie było nic trudnego w tej okolicy. Niemniej miał odciąć głowę zwierzęcia i przynieść ją razem z futrem.

Najpierw skóry trzeba było namoczyć w wodzie. W tym czasie przygotowywano wywar z mózgu zwierzęcia, w którym skóry potem moczono i gnieciono tak długo, aż ów wywar cały w nie wsiąknął. Na koniec należało jeszcze skórę przeciągnąć po ostrej krawędzi, aż stała się sucha, biała i miękka. Aby skóry były gładkie, trzeba było uwędzić je nad mocno dymiącym ogniskiem. Wtedy nabierały ładnej brązowożółtej barwy i charakterystycznego zapachu. Tak przygotowane były odporne i na słońce, i na deszcz.

Maria była szczęśliwa, że zdobyła nową umiejętność. Uszyła dla siebie buty, dla Karola spodnie, a dla Wilsona kołderkę. Potrzebowała więcej takich skór. Chciała uszyć Karolowi kurtkę, a sobie nową spódnicę. Jej stara była już w opłakanym stanie.

Karol codziennie pracował przy budowie ogrodzenia wokół pola i przygotowywał ziemię pod zasiew. Pole nie było jeszcze gotowe, wciąż leżało na nim wiele pni, które powoli trzeba było usuwać. Pierwszy raz Karol musiał jednak siać pomiędzy pnie, inaczej nie dałby rady. Przy

oraniu co rusz musiał podnosić pług, by nie zahaczyć o korzeń drzewa. Na szczęście pług był mały i poręczny. W przyszłym roku planował poszerzyć trochę pole, chciał też ogrodzić kolejny kawałek ziemi i zrobić pastwisko dla krowy.

Nadeszła zima. Śniegu było tak dużo, że Karol nie mógł pracować poza domem. Jedzenie, które przygotowywała Maria składało się teraz głównie z placków kukurydzianych, pieczonych na patelni na otwartym ogniu.

Mięso pojawiało się od czasu do czasu, w zależności od tego, jak owocne było polowanie. Wnętrze chaty oświetlał jedynie płonący w palenisku ogień.

Pewnego dnia, niedługo po Bożym Narodzeniu, Karol przyniósł do domu niecodzienne znalezisko. Nie była to sarna ani dziki indyk, tylko indiańskie dziecko. Chłopiec był nieprzytomny, a na głowie miał ślady krwi.

– Znalazłem go pod drzewem. Pewnie spadła na niego gruba, ostra gałąź, którą złamał silny podmuch wiatru.

– Połóż go na moim łóżku – powiedziała Maria.

Karol położył delikatnie nieprzytomnego chłopca na pościeli, a Maria kawałkiem skóry starła krew z twarzy dziecka. Na szczęście rana przestała krwawić. Guz na głowie nie wyglądał groźnie.

– Jak myślisz, ile on ma lat?

– Dwanaście, może czternaście.

Kolejnej nocy ranny chłopiec odzyskał przytomność. Jęcząc, trzymał się za głowę. Gdy spostrzegł, że jest u obcych, w jego oczach pojawił się strach. Próbował wstać, ale był tak słaby, że przewrócił się na łóżko. Widocznie ból był dotkliwy, gdyż dzieciak przez cały czas wydawał z siebie różne dziwne dźwięki. Maria podała mu wywar z suszonych ziół, który przyrządzała każdego dnia. Karmiła go małymi kawałkami pieczonego mięsa. Chłopiec jadł i znów zapadał w głęboki sen.

Tak mijały kolejne dni. Aż pewnego ranka młody Indianin obudził się z nowymi siłami, czuł się dużo lepiej, mimo że wciąż jeszcze bolała go głowa. Uśmiechał się do Wilsona i z zainteresowaniem oglądał lalkę Marii, która przez ten czas leżała wetknięta w kąt izby. Chłopak dotykał

ją delikatnie, jakby chciał się upewnić, czy to żywa istota. Wziął ją do ręki, przytulił mocno i zasnął.

– Jego rodzice na pewno się o niego martwią. I pewnie go szukają – powiedziała Maria. – Znajdą jego ślady i przyjdą do nas.

– Gdy go znalazłem wiał silny wiatr. A potem była burza śnieżna. Nie ma żadnych śladów. Jego rodzice myślą pewnie, że porwały go dzikie zwierzęta.

– Dzikie zwierzęta?

– Niedźwiedź albo wilki.

– To straszne!

Maria wyobraziła sobie, co by czuła, gdyby jej synek padł ofiarą dzikiego zwierzęcia. Przejęta popatrzyła na indiańskiego chłopca, pogłaskała go po policzku i szepnęła do niego z czułością:

– Jak to dobrze, że tu jesteś bezpieczny. Twoi rodzice pewnie drżą z niepokoju o ciebie, ale kiedy wrócisz do nich cały i zdrowy, będą bardzo szczęśliwi.

Ale na to trzeba było jeszcze poczekać. Chłopiec przez długie tygodnie wciąż jeszcze potrzebował sporo snu. Krótkie chwile świadomości spędzał na nauce niemieckich słów. Karol i Maria poznawali zaś indiańskie słowa. Imię chłopca było niezwykle długie i mimo wielu prób wciąż nie potrafili go wypowiedzieć. Nazywali go więc pierwszymi sylabami – Tesso.

Tesso kołysał małego Wilsona, pilnował ognia i pomagał Marii przy garbowaniu skór. Karol i Maria przyzwyczaili się już do tego, że dzielili swój dom z indiańskim chłopcem i bardzo się z nim zżyli. Pewnego ranka odwiedził ich irlandzki sąsiad. Na widok młodego Indianina ogarnął go strach i przerażenie. Natychmiast chwycił za broń i wycelował w chłopca. *Kill him! Kill him!* – krzyczał, co pewnie znaczyło „Zabić go!”.

Karol doskoczył do mężczyzny i skierował jego strzelbę ku górze, tak by nie mógł celować w Tesso. Maria wskazała ranę na głowie chłopca, by wyjaśnić przyczynę obecności Indianina w ich domu, ale sąsiad mimo to się nie uspokoił. Wykrzyczał coś głośno po angielsku lub celtycku i wybiegł. Od tego dnia nikt ich już nie odwiedzał.

Niedługo potem Tesso postanowił opuścić gościnny dom Karola i

Marii. Mógł już biegać, nie odczuwał bólu głowy, a blizna po ranie się zagoiła. Chłopiec wspiał się na ogrodzenie, zatrzymał się na nim przez chwilę, pomachał i krzyknął im coś na pożegnanie. Potem zeskoczył i szybko zniknął w lesie.

Kilka dni później przyszedł do nich w odwiedzin, przynosząc ze sobą dużego ptaka, podobnego do bażanta. Zabił go sam strzałem z łuku. Odał go z pierza, oporządził z wprawą i upiekł. Gdy mięso było gotowe poczęstował nim gospodarzy. Po jedzeniu bawił się lalką z Wilsonem, który właśnie zaczął raczkować, pogłaskał go po rudawej czuprynie i odszedł do swoich.

Odtąd odwiedzał ich co kilka dni. Nie zawsze miał prezent, ale czasem przynosił kolorowe pióra, rzadkie kwiaty, albo wielokształtne muszle ślimaków, którymi bawił się Wilson.

WCZESNĄ WIOSNĄ KAROL rozpoczął prace w polu. Część ziemi obsiał kukurydzą, a drugą pszenicą. Wydzielił też, tak jak planował, kawałek pola na pastwisko dla krowy. Wiele razy proponował Tesso, by ten pomógł mu w pracy. Chłopak jednak w odpowiedzi na jego propozycje tylko się śmiał i po chwili zniknął w lesie.

Niedługo potem w dolinie słychać było strzały. To nie był pojedynczy strzał kogoś, kto poluje na zwierzyne. To brzmiało zupełnie inaczej.

– Znowu strzelają do Indian – krzyknęła przerażona Maria. – Mam nadzieję, że Tesso nic się nie stało.

Jakieś trzy tygodnie później przybiegł do nich Tesso. Był bardzo zdenerwowany. Tym razem nie miał przy sobie broni, swojego łuku, ani strzał. Zasypał ich jednak mnóstwem słów i choć żywo przy tym gestykulował, Maria i Karol nie wiedzieli, o co mu chodzi. Kiedy Tesso zorientował się, że go nie zrozumieli, podszedł do łóżka Marii, wziął lalkę, podniósł z ziemi bawiącego się Wilsona i wybiegł z domu. W pierwszej chwili Maria zastygła w zdumieniu i przerażeniu, szybko jednak wybiegła za Tesso. To samo uczynił Karol.

– Co robisz? – zawołał do Tesso, lecz chłopak biegł już w kierunku lasu.

Maria i Karol, mimo iż pognali za nim, co sił w nogach, nie mogli

dogonić zwinnego Indianina. Wprost przeciwnie. Dzieląca ich odległość zwiększała się z każdą chwilą. Wreszcie Tesso przystanął na chwilę i czekał, aż podbiegną bliżej. Ale potem znów uciekał, tak że prawie tracili go z oczu. Kiedy prawie udawało im się do niego podbiec, na nowo rozpoczynał ucieczkę. Karol i Maria dyszeli ciężko. Jeszcze nigdy nie byli zmuszeni do tak wyczerpującej pogoni.

Byli już daleko od farmy, gdy Tesso zatrzymał się i czekał na nich. Już nie uciekał. Oddał Marii rozbawionego Wilsona, któremu bieg z Tesso najwyraźniej bardzo się spodobał. Oddał jej też lalkę. Maria była tak wyczerpana, że nie mogła złapać tchu. Tesso wyciągnął rękę w kierunku, z którego przybiegli – najwyraźniej chciał im coś pokazać.

Z miejsca, w którym stali było dobrze widać całą dolinę. Zobaczyli, że wszystkie domy w ich okolicy stały w ogniu. Palił się też ich dom. Tesso złożył ręce jak do strzału z łuku i wskazał na pierś Karola. A więc była to zemsta Indian na osadnikach. W odpowiedzi na strzały farmerów Indianie powrócili w większej liczbie i napadli na osadę. Zabili mieszkańców, a ich domy podpaliłi. „Nas też by to spotkało, gdyby nie pomoc Tesso!” – pomyślał przerażony Karol.

Indianin dał im do zrozumienia, że powinni iść dalej. Skierowali się więc na wschód, jak najdalej od ich nowego domu. Tesso musiał być bardzo ostrożny, gdyż jego bracia wszędzie czyhali na białych. Karol, Maria i Wilson byli bezbroni. Zginęliby natychmiast.

Przez dwa tygodnie Tesso prowadził ich na wschód. Karmił ich mięsem ptaków. Głód zaspakajali też korzeniami, które Indianin wygrzebywał i wędził nad ogniskiem. Wędrowali od świtu do zmierzchu. Dzięki umiejętnościom Tesso przez rzekę przeprawili się małymi łodziami, ukrytymi w zaroślach przy brzegu i widocznymi tylko dla indiańskich oczu.

W końcu dotarli do bezpiecznej okolicy, w której mieszkali tylko biali. Tesso pożegnał się z Marią i Karolem. Pokazał im, w którym kierunku muszą iść, by dotrzeć do najbliższej osady, pomachał im na pożegnanie i zniknął w lesie. Młodzi znów byli zdani tylko na siebie. Stracili wszystko, lecz przecież ocalili życie!

– BĘDĘ MUSIAŁ ZNALEŹĆ pracę tutaj, na wschodnim wybrzeżu.

Musimy oszczędzać, żebyśmy znów mogli kupić kawałek ziemi – mówi Karol.

– Może najpierw wrócimy na farmę państwa Schade? Tam będziesz mógł rozejrzeć się za pracą.

– Wiesz, jak trafić na ich farmę?

– To nie powinno być trudne. Pamiętam ich adres.

Poszli więc jeszcze dalej na wschód. Wieczorami nocowali na farmach, które mijali po drodze. Rankiem udawali się w dalszą drogę.

– Czuję się prawie tak, jak w zeszłym roku, kiedy szliśmy do Bremy – przypomniała sobie Maria. – Wtedy jednak nie musieliśmy się przedzierać przez las. Mijaliśmy piękne wioski i szliśmy po utwardzonym podłożu. A po drodze były gospody.

– Jeśli zabraknie nam pieniędzy, będziemy musieli spać pod gołym niebem – ostrzegał Karol. – Chyba, że ktoś zgodzi się przyjąć nas na nocleg bez zapłaty.

– Nie martw się o pieniądze – powiedziała ze śmiechem Maria. – Te, które nam zostały, nosiłam zawsze przy sobie w woreczku. Mam je przez cały czas ze sobą.

Karol spojrzał na dziewczynę z podziwem. Był zaskoczony jej zapobiegliwością.

– To wspaniała wiadomość, Mario! A ja myślałem, że nasze pieniądze też przepadły.

Ruszyli w dalszą drogę. Nieśli Wilsona na zmianę, choć częściej Karol, bo miał więcej siły. Maria czasem brała chłopca na barana. Od czasu do czasu odpoczywali. Jedzenie kupowali od farmerów, a im dalej na wschód, tym częściej pojawiały się po drodze gospody.

Ostatni odcinek dzielący ich od farmy państwa Schade szło im się już dużo łatwiej. Droga była szeroka i równa. Karol niósł synka i trzymał Marię za rękę. Przez chwilę szli obok siebie zamyśleni, nie mówiąc ani słowa. Pięknie było tak iść przez życie razem, trzymając się za rękę.

Nagle przestraszony Karol wyrwał swoją rękę z dłoni Marii.

– Siostrzyczko! – powiedział smutnym głosem, patrząc z czułością na stojącą obok niego dziewczynę.

– Braciszku! – natychmiast odpowiedziała drżącym głosem Maria. Nie mogła powstrzymać napływających do oczu łez.

– Dobrze cię rozumiem – głos Karola stał się bardziej szorstki. – Czuję to, co ty! To nie ma sensu. To dla nas zbyt bolesne.

– Było nam dobrze razem na tym pustkowiu, tak pięknie, ale i strasznie. Być tak blisko, patrzeć na ciebie i... nie móc cię nigdy wziąć w ramiona... nie wytrzymam tego. – Maria zanosła się gwałtownym płaczem.

– Mario, kochana, nie wiedziałem, że ty też tak cierpisz. Zawsze myślałem jedynie o swoim cierpieniu. Mieć cię przy sobie i trzymać się od ciebie z daleka to ponad moje siły.

Maria płakała tak rzewnie, że Wilson również zaczął płakać.

– Wiesz, co teraz zrobimy? Zaprowadzę cię do państwa Schade. Na pewno będziesz mogła tam zostać jakiś czas. Poszukam pracy gdzieś niedaleko, żebym mógł wam regularnie przysyłać pieniądze. Ale raczej nie będę was odwiedzał. Może wszystko będzie łatwiejsze, kiedy nie będziemy się tak często widywać.

– Masz rację. Zróbmy tak, Karolu. Może nie będzie tak bardzo źle, kiedy ciebie przy mnie nie będzie. Ale pamiętaj o Wilsonie. Musisz go odwiedzać, żeby on mógł kochać swojego ojca.

– Kochana, to i tak nie będzie łatwe.

– Ale na pewno łatwiejsze niż nasze dotychczasowe życie.

U PAŃSTWA SCHADE

MARIA i KAROL, WYCZERPANI długą wędrówką i bardzo głodni dotarli wreszcie na farmę państwa Schade. Gdy Elisabeth zorientowała się, że do ich domu zbliżają się jacyś przybysze, a dostrzegłszy na rękach mężczyzny małego chłopca, otworzyła oczy ze zdumienia.

– Czy to możliwe? Maria i Karol? To wy? – zawołała z daleka. – Wchodźcie! Opowiadajcie wszystko! Co się stało?

Dopiero w domu młodzi zdali sobie sprawę z tego, jak bardzo są wycieńczeni podróżą. I jak dobrze, czuć czyjąś troskę i opiekę. Córki państwa Schade zajęły się Wilsonem, potem przygotowały kolację. Kiedy zjawił się pan Schade i wszyscy razem zasiedli do stołu, Maria i Karol na zmianę opowiadali, co przeżyli przez ostatnie pół roku.

Opowieściom i pytaniom nie było końca. Dziewczęta podziwiała indiańskie ubrania, które uszyła Maria. Nigdy wcześniej takich nie widziały. Maria i Karol mogli udać się na spoczynek dopiero późnym wieczorem, kiedy opowiedzieli już wszystkie szczegóły ich życia wśród Indian.

Rano pani Schade nie budziła swoich gości. Pozwoliła, by wypoczęli po trudach długiej i wyczerpującej podróży. Nawet mały Wilson po pierwszym porannym karmieniu wtulił się w Marię i ponownie zasnął. Tego dnia zjedli śniadanie dopiero wczesnym przedpołudniem. Kiedy chcieli już wstać od stołu, pan Schade uśmiechnął się do nich tajemniczo i powiedział:

– Usiądźcie jeszcze. Mam dla Marii dwa listy.

– Listy dla mnie? – zapytała zdziwiona Maria. – Mogę je zobaczyć?

– Oczywiście. Nie dałem wam ich wczoraj wieczorem, gdyż byliście bardzo zmęczeni wędrówką.

Maria obejrzała pierwszą kopertę zaadresowaną do panny Marii Ruppert. List wysłano z Kleinem, a jego nadawcą prawdopodobnie była Anna-Katarzyna.

Drugi list był bardzo tajemniczy. Tak jak poprzedni był zaadresowany do Marii Ruppert, jednak wysłano go z Kassel. Maria

ostrożnie otworzyła kopertę.

– „Droga panno Ruppert! – Maria czytała półgłosem, by Karol i państwo Schade mogli dowiedzieć się co było w liście. – Na pytanie, czy wasz bagaż został przy nadaniu ubezpieczony, chciałbym niniejszym odpowiedzieć twierdząco. Ponieważ podczas naszego spotkania nie zwróciłem wam uwagi na to, że bagaż można ubezpieczyć – wybaczcie mi to zaniedbanie, ale zapewne domyślacie się, że wasza osoba wywarła na mnie tak silne wrażenie, że nie mogłem jasno myśleć – postanowiłem ubezpieczyć wasz bagaż na swój koszt. Wybrałem najwyższą stawkę. Nasz pośrednik w Baltimore został już o tym powiadomiony i wypłaci wam odszkodowanie. Musicie jednak odebrać je osobiście. Życzę wam wszystkiego dobrego w nowej ojczyźnie. Wasz (na zawsze wielbiciel) Wilhelm Heugel, pośrednik towarzystwa przewozowego...” i tak dalej...

Maria podniosła wzrok znad kartki. – Zapłacił za mnie? Nie do wiary! Cóż to za zacny człowiek!

– Musiał bardzo cię polubić, w przeciwnym razie by tego nie zrobił – stwierdził Karol.

– To oznacza, że Maria musi teraz ze mną albo z jednym z moich synów jechać do Baltimore i odebrać pieniądze – zdecydował pan Schade.

– Pośrednik wysłał list do panny Ruppert – zauważyła pani Schade. – Ty jesteś przecież panią Urspruch. Byliście już małżeństwem, kiedy wyjeżdżaliście?

– Nie byliśmy. To długa historia.

– Mario, myślę, że możemy ją opowiedzieć naszym przyjaciołom. Podjęliśmy już decyzję o rozstaniu...

Elisabeth popatrzyła na nich przestraszona.

– Chcecie się rozstać? – zapytała. – To niemożliwe. Każdy widzi, jak bardzo się kochacie. I macie takie wspaniałe dziecko! Jakże to chcecie się rozstać?

– A kto mówi, że chcemy. Musimy jednak, żebyśmy mogli jakoś żyć.

Maria pocałowała synka.

– Opowiem ci wszystko, Elisabeth – zwróciła się do pani Schade. – Jestem pewna, że nam wybaczysz i zrozumiesz.

Maria i pani Schade poszły za dom i usiadły na ławce w ogrodzie. Towarzyszył im Karol, który zaprosił pana Schade, aby również do nich dołączył.

OPOWIEDZIELI IM SWOJĄ historię od samego początku. Państwo Schade byli zrozpaczeni.

– To nie wasza wina – powiedziała ze zrozumieniem pani Schade.
– Ktoś może wam jedynie zarzucić, że byliście ze sobą, nie będąc jeszcze małżeństwem. Ale nic poza tym.

– Rozumiesz teraz dlaczego musimy się rozstać? Nasze serce wypełnia miłość, dla której nie ma nadziei na spełnienie. Będzie nam łatwiej, gdy nie będziemy się widywać.

– To takie straszne! Takie beznadziejne!

Pani Schade była tak wstrząśnięta tym, co usłyszała, że aż zaczęła płakać.

Po policzkach Marii również popłynęły łzy. Karol wziął Wilsona z objęć Marii i chodził z nim po ogrodzie, by malec nie widział ich płaczących.

– Jest jeszcze drugi list, Mario – przypomniał pan Schade. – Zapomnieliście o nim?

– On jest z naszej wioski, z Kleinem. Nie chcę wiedzieć, co w nim jest. Na pewno tylko mnie zmartwi.

– Co mam z nim zrobić?

– Wyrzucie go! Napisała go moja macocha. Bardzo się cieszyła, kiedy wyjeżdżałam. Miała wreszcie całe gospodarstwo mojego ojca tylko dla siebie.

– Naprawdę chcecie, bym wyrzucił ten list?

– Nic mnie on nie obchodzi.

– To może chociaż ja go przeczytam – zaproponował Karol. – Zobaczę, czy to, co napisała, jest dla ciebie ważne. I powiem ci.

– Jak chcesz, Karolu.

Karol oddał syna Elizie, która uwielbiała zajmować się ich malcem, a Wilson wyciągał do niej rączki i pozwalał się przytulić.

Zaraz potem Karol wziął list i odszedł w odległy kąt ogrodu, by spokojnie go przeczytać. Po dłuższym czasie wrócił do miejsca, gdzie

siedziały obie kobiety. Pani Schade wciąż trzymała Wilsona na kolanach. Kołysała go i śpiewała mu piosenkę.

Maria spojrzała na twarz Karola i przerażona poderwała się z ławki. Był sinoblady. Nie mógł mówić i z trudem łapał powietrze.

– Co z tobą? – Maria zatrwożona podbiegła do ukochanego. – Karolu, powiedz coś!

Karol wciąż nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Bez sił osunął się na ławkę.

– Chodzi o to, co było w liście? – dopytywała Maria.

Karol potakująco kiwnął głową.

– To takie straszne! Nie do wiary! – naraz zaczął przeraźliwie płakać. – Straszne! I zupełnie niepotrzebne!

Maria objęła jego głowę dłońmi i głaskała go po policzku, by nieco się uspokoił.

– Karolu... – powiedziała łagodnie. – Powiesz mi, co było w tym liście?

– Przeczytaj go sama!

– Nie – odparła Maria. – Nie chcę go czytać. Jeśli ciebie tak zdenerwował, to co dopiero będzie ze mną?

– Moja matka zmarła – głos Karola był niezwykle poważny. – Anna-Katarzyna wspomina o tym jedynie przy okazji. Píše, że moja matka chciała przed śmiercią zobaczyć mnie, myśląc, że prawdopodobnie pracuję gdzieś w Hesji jako parobek. Wezwała do siebie Ludwika, twierdząc, że nim odejdzie, musi oczyścić swoje sumienie.

– Ludwik to mój ojciec – powiedziała Maria – i Karola też.

– No właśnie. – Karol odetchnął głęboko i mówił dalej: – Leżąc na łożu śmierci, moja matka powiedziała Ludwikowi, że oszukiwała go przez całe życie.

– Jak to? Jakże mogła go oszukiwać?

– Powiedziała mu, że jestem jego synem. Coś kiedyś między nimi było i Ludwik jej uwierzył, ale matka moja skłamała. Postąpiła tak, żeby dostawać od niego, syna bogatego chłopca, pieniądze. Po latach żałowała tego, co się stało. Nie mogła stanąć przed Niebieskim Sędzią, zanim Ludwik jej przebaczy.

– To znaczy... Karolu...

– To nie Ludwik był ojcem jej dziecka, ale parobek z Armsfeld, który obiecywał, że się z nią ożeni, potem jednak zniknął i więcej go nie widziała.

– Czy to wszystko prawda?

– Oszukała Ludwika i oszukała mnie – Karol znów zaczął płakać. – Gdyby tylko wiedziała, ile cierpienia przysporzyła mi tym kłamstwem... mnie i tobie...

– Muszę przeczytać ten list – Maria sięgnęła po kartkę i zaczęła czytać. Nagle zerwała się gwałtownie. – Karolu! Nie rozumiesz? To znaczy, że nie jesteś moim bratem, a ja twoją siostrą! Elisabeth, ciesz się razem z nami! Nie jesteśmy rodzeństwem! Możemy nareszcie wziąć ślub i żyć razem jak mąż i żona. – Płacząc, Maria przytuliła się do przyjaciółki.

Oczy pani Schade wciąż jeszcze były wilgotne, powiedziała jednak zdecydowanym głosem:

– Jedźmy wszyscy do Baltimore, najszybciej jak to możliwe! Pastor Strassheim pobłogosławi was i ochrzci waszego synka. Przy okazji będziesz też mogła odebrać swoje odszkodowanie.

Karol wciąż wyglądał tak, jakby nic nie rozumiał.

– Karolu – zawołała do niego Maria – jedziemy do Baltimore, do naszych przyjaciół! Weźmiemy ślub. Teraz już możemy! Nie jesteśmy spokrewnieni, nie jesteśmy rodzeństwem! Nasz synek nie jest dzieckiem hańby! Karolu, słyszysz mnie?

– Słyszę, Mario. Ale tyle wieści naraz, to dla mnie zbyt wiele...

– Chcesz jechać ze mną do Baltimore i zostać moim mężem?

– Najdroższa...

Maria popatrzyła na niego z miłością.

– A co zrobimy potem?

– Świat stoi przed nami otworem. Możemy wrócić do naszego domu albo jechać gdzieś indziej. To nie ma żadnego znaczenia, skoro możemy być razem! Już na zawsze!

– Elisabeth, czy mogłabym przez chwilę zostać sama?

– spytała po chwili Maria.

– Oczywiście, rozumiem, że w takiej chwili potrzebujesz

samotności – odparła pani Schade, zaskoczona nieco pytaniem Marii.

– Ale to nie z powodu tej wstrząsającej wiadomości, Elisabeth. To coś innego.

– Nie musisz nic mówić.

– Ale chcę ci o tym powiedzieć. Spierałam się z Panem Bogiem, od kiedy dowiedziałam się, że Karol i ja jesteśmy rodzeństwem. Mówiłam, że nie potrafię dostrzec Jego miłości i dobroci wobec ludzi. Nie chciałam też nic słyszeć o Jego synu – Jezusie Chrystusie. Mówiłam Mu: „Nie jesteś Bogiem miłości”.

– To na pewno nie było właściwe, ale w tej sytuacji zrozumiałe.

– Muszę Go przeprosić. Chcę prosić Boga, by mi przebaczył, że zważyłam w Jego miłość!

– Na pewno ci wybaczy! I będzie się cieszył razem z wami.